Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK III NR. 18 (66) | WARSZAWA, DNIA 15 GRUDNIA 1934 R. | CENA 50 GR.

A światłość w ciemnościach świeci a ciemności jej nie ogarnęły...

Pod wielką górą Wawel — mała betlehemska szopka, przez której szpary mży światłość błękitnemi, gwiaździstemi iglicami. W ciemności cichutko, pianissimo nuci kolenda pastusza. Nad całą Polską unosi się dziś ta gędźba skrzydlata.

Pod wielką wieżą dziejów, wzniosłą jak ten świat nowy, który ma stanąć z Bożego rozkazu na starem rumowisku Babelu, — cud umieścił maleńką busolę: misterjum narodzin Boga w Człowieku, symbol Słowa, które stało się Ciałem.

Na zbiegu wszystkich dróg, w samym środku ziemi, czeka na nas od wieków ten dziw, zawsze ten sam i zawsze nowy. Na imię mu: mądrość, na imię mu: miłość. Na imię mu: Pokój...

Od czasu, gdy u stóp genewskiej wieży Babel pomieszały się języki narodów, coraz gęstszy mrok zaciąga swoje kurtyny nad Europą. Słyszymy o zamachach, dzienniki donoszą codzień o rosnącym wyścigu zbrojeń. Kontynent nasz roi się od tajnych central terroru. Opancerzona pięść mnie pogardliwie teatralną gałązkę oliwną. Szkieletowate widmo wojny zbliża się ku nam raz po raz, to z tej to z owej strony.

Życie ludzkie straciło walor. Podejrzanym pali się w łeb bez sądu. Wola wodzów stoi ponad prawem. Dla kogo szkoda jeszcze kuli, tego umieszcza się, w obozie koncentracyjnym. Nazywa się to wszystko... racją stanu. A bies się śmieje...

Ecce homo...

* * *

Jesteśmy wszyscy ludźmi. Królestwo Boże w nas jest. Bo jesteśmy synami Bożymi. Żywot nasz na wieki wieków, jak wiecznie zielone drzewo. Bo — jako mówi ewangelista — żywot jest oną światłością ludzką. A światłość w ciemnościach świeci a ciemności jej nie ogarnęły.

Ale światłość zdaje się już dopalać i zamiast jarzyć się jak to słońce, co nam drogę wskazuje we dnie, skwierczy i pełga jak mała świeczka na choince wigilijnej. Już jej nie widać na rynkach i placach miast, już tylko w małych izdebkach chroni się przed mroźnym powiewem. A poza jej lękliwemi kręgami hula swobodnie śmierć - pustoszycielka, djabelska tanecznica. Ponad Europą unosi się mdły, ckliwy zapach trupiego gnicia.

* * *

Rozumny to plan: stworzyć świat, a owoc jego najlepszy, człowieka, zapłodnić mocą nowego stworzenia. Zaiste rozumny to plan: stworzyć sam stwórczy rozum, aby Bóg ciałem stał się w człowieku. I potrzykroć rozumny to plan: aby człowiek sam siebie zrozumiał, urzeczywistnił i stworzył. Aby plan taki zrealizować, warto wszcząć straszne misterjum dziejów. I warto u stóp tej wieży, którą zbudować ma człowiek do nieba, samemu się umieścić żywym, aby drogowskaz dać, aby ukazać pokój, mądrość i miłość.

Ale Europa krytykuje ten plan: precz z zależnością od Boga! I aby dać dowód, że człowiek ma swój rozum, Europa głosi niepoznawalność prawdy, względność kryterjów, nicość postulatów rozumu, pochwałę instynktu i histerji, wyłączność potrzeb zwierzęcych, bezsensowność aspiracyj duchowych, determinizm biologiczny krwi, irracjonalizm.

* * *

Najtrudniej jest — bez lustra — zobaczyć samego siebie. Dante ukazał swojemu światu, światu chrześcijańskiego średniowiecza, jego prawdziwą, duchową scenę. Boska komedja rozbudowała na trzech patetycznych kondygnacjach swej centralnej wizji kosmiczne theatrum dusz, dramatyczne epos człowieczeństwa, zawieszonego pomiędzy zbawieniem a potępieniem.

Scena średniowiecznego misterjum rewelowała człowiekowi jego wewnętrzne, głębsze alter ego: w górze niebo, w dole piekło, dwie siły walczące o naszą jaźń wieczną. W pośrodku ziemia, na której postawiony jest człowiek, aby dokonał sądu: Oto dobre i oto złe, wybieraj!

A ponieważ człowiek czuł się zbyt jeszcze słabym, by ten nadludzki problemat rozwiązać, bohaterem misterjum stawał się sam Bóg, który w przybranej postaci Człowieka, bój ten podjął za nas i zwyciężył. Alleluja!

Europa współczesna, rozbita na chaos fragmentarycznych wyobrażeń i idej, nie zna siebie. Może to wina sztuki, która nie zdobyła się jeszcze na to, by owo lustro transcendentalne ustawić przed oczyma miljonów.

* * *

Człowiek dzisiejszy nie jest już tym z czasów Platona, św. Augustyna, Galileusza, Leibniza. Człowiek XX-go wieku ma już za sobą wielką kampanję o ujarzmienie przyrody, zarówno jak bunt przeciwko determinizmowi historji. W jego wyobrażeniu przestała już istnieć poza nim ta ślepa, wszechwładna konieczność, która w tajemniczości swej mogła dla niego być Bogiem. Przyrodniczy, naukowy sposób myślenia ukazuje mu świat jako bezwładne — choć dynamiczne — środowisko kosmiczne, które on w miarę rozwoju techniki będzie mógł z coraz większą korzyścią eksploatować. Nawet życie i śmierć chce ludzkość współczesna podporządkować racjonalnej organizacji, poprostu uprzemysłowić. Pewien angielski socjolog pozwolił sobie nazwać Kościół przedsiębiorstwem eksploatacji handlowej tajemnic życia i śmierci. Oto produkt zintelektualizowania psychiki współczesnej, z którym należy się liczyć, jako z faktem dokonanym. Z podobną zuchwałością zabrał się socjal-utopizm do „racjonalnej reorganizacji" historji. W Sowietach nazywa się to „budownictwem socjalistycznem".

Ten stan rzeczy stwarza oczywiście nowe perspektywy. Człowiek zobaczył się wolnym, co zresztą niewątpliwie należało do wyższego planu, bo tylko wolna myśl i wola zdobyć się może na świadomy wybór, godny synostwa Bożego. Człowiek stał się wolnym — a więc i odpowiedzialnym za dalszy bieg dziejów — z chwilą gdy uświadomił sobie swą moc samorzutnego przekształcania rzeczywistości, swój twórczy Logos.

Twórca musi sam osądzać swe dzieło. Dlatego współczesne misterjum narodzin boskości w człowieku, jest zarazem misterjum Sądu.

Logos powraca, w tej samej glorji mądrości, miłości i pokoju, ale już w groźnej chwale sprawiedliwości, która rozsądza.

* * *

Ma i XX-sty wiek swoją scenę. Ma i on swoją wigilję i swoją noc nad światem. Teatr ten ma tożsame trzy kondygnacje, co średniowieczne misterjum. Antynomja: Rzym-Moskwa ma swoją dramatyczną wymowę. Oto nad nami niebo, ów transcendentny zaświat religji, owo empireum pośmiertne, w które chce nas wmodlić Kościół swym systemem sakramentalnym uświęcań, uprawą cnót, łaską i wiarą. I oto pod nami świat odpadły od Boga, ugrzęzły w immanencji, w zwierzęcej fizyczności doczesnych celów: bolszewizm. Kto zna do głębi idee religijne upadku i odkupienia, grzechu i kary, dobra i zła absolutnego, ten dostrzeże, że Rosja bolszewicka jest pełnem urzeczywistnieniem tego, co symbolizowała wizja średniowieczna piekła, z tą tylko różnicą, że ta katorga dusz ma miejsce nie po śmierci, lecz tu na ziemi. Ponieważ jednak Kościół ma być ziemskim obrazem nieba. Królestwa Chrystusowego, można uważać bolszewicką „Anti-ecclesia"—z równem uzasadnieniem — za ziemski obraz piekła, mocarstwa Antychrysta. W ten sposób dwie kondygnacje dantejskiego theatrum mundi byłyby gotowe, jako dwie potężne przesłanki mającego nastąpić sądu.

Centralna kondygnacja tej architektury to ziemia i ten, co stoi na niej: człowiek. Cały ciężar akcji skupia się na niej, bo idzie właśnie o to, co uczyni wobec tych alternatyw człowiek XX-go stulecia, wyposażony już w potencję świadomego wyboru, w potęgę wolnego, tworzącego rozumu.

* * *

Europejczyku, obróć oko wgłąb siebie. Wy Polacy i wy Francuzi, Niemcy, Włosi, Anglicy, Rosjanie. Każdy z was, jak nowe centrum świata, jak nowa gwiazda, nosi w sobie cały odwieczny problemat dziejów. Oto na ruinach fałszywej cywilizacji, skruszonej jak Babel w zgiełku pomieszania języków, w duszy każdego z was wyrasta słoneczny ideał nowej sprawiedliwości, nowego, rozumnego ładu. I oto u stóp tej wieży, którąście wymarzyli, w małej izdebce waszego twórczego „ja", w owym azylu, gdzie się kryje nasza wolność, nasze sumienie — rodzi się Logos, powołany do ostatecznego Sądu.

To przecież wy tworzyć będziecie przyszłość tego globu. Kształt jutra od was tylko zależy. Pójdziecież za nienawiścią, czy za mądrą miłością pokoju, za destrukcją czy za tworzeniem? Zaciążyła oto nad wami miażdżąca odpowiedzialność wyboru.

Człowiek wczorajszy dowiedział się, że może zwyciężyć Fatum w przyrodzie i w historji. Wiedzcie, że dziś idzie o to, byśmy zwyciężyli je wewnątrz siebie.

Kto zwycięży, sam siebie stworzy. A kto mu ulegnie, wyda — na ludzkość i na człowieka w sobie — nieodwołalny wyrok zniszczenia.

— — — — — —

Pod wielką górą Wawel — małe Betlehem. A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły...

Kompozycja japońska

W krakowskiej „Gazecie Artystów" z 27. X. b. r. znajdujemy interesujący artykuł Stefana Łubieńskiego p. t. „Kompozycja japońska". Autor, długoletni badacz sztuki japońskiej, stwierdza, że „podstawą japońskiej kompozycji malarskiej jest *przeciwstawienie nieba i ziemi*". „Istnieje starodawna reguła estetyki Nipponu zwana „TEN - CI - DZIN" t. j. dosłownie: „Niebo - Ziemia - Człowiek", inaczej... zasada trójkątu („Sangaku"), nie dlatego, że sztuka japońska dąży do kompozycji w kształcie trójkąta (chociaż i to ostatnie ma miejsce np. w sztuce układania kwiatów), ale dlatego, że wzajemne ustosunkowanie się wyżej wymienionych trzech pierwiastków stworzenia: Ten (nieba), Ziemi (Ci) i Dzin (człowieka) da się najłatwiej przedstawić symbolicznie w formie trójkąta równobocznego, którego wierzchołek uzmysławia Niebo, podstawa ziemię, a przekątnia wraz z całem polem — człowieka".

„Jeszcze lepiej przedstawia tę trójnię klepsydra; górna jej część, stworzona przez dwa boki trójkąta idące w nieskończoność — to niebo, świat ducha, spoczywający na jednym punkcie (na wierzchołku trójkąta dolnego), w którym to jak w soczewce promienie kosmiczne załamują się, by idąc w odwrotnym kierunku, wdół (pole trójkąta) napotkać podstawę trójkąta — zwierciadło sił ducha: materję. Most pomiędzy temi dwoma biegunami stanowi indywidualna dusza ludzka..."

Sztuka — w ujęciu japońskiem — ma być oknem „przez które otwiera się widok ze świata materjalnego w świat metafizyczny...." A gdzież ten świat wyższy, świat ducha? Znamieniem sztuki japońskiej jest objektywizm. „Człowiek indywidualny zatracić się winien w przyrodzie i uzewnętrznić możliwie *objektywnie to*, co najbardziej trwałe i istotne". A jednak... ten świat przedmiotowy ma nam dać wgląd w „świat ducha". Malarstwo japońskie podkreśla ten moment w sposób niespodziany i arcysubtelny. Tego, co subjektywne, a więc tajemnicze i nadprzyrodzone nie można pendzlem, materjalnie wyrazić. „Na to jednak, aby umożliwić widzowi... przeżycie subjektywne... nikomu nieobjawione i u każdego posiadające inne indywidualne zabarwienie, należy zostawić w obrazie miejsce *in blanco*, nie obciążone żadną linją, prawie żadną barwą, owo okno w zaświaty, ową przestrzeń pustą, którą patrzący na dzieło sztuki *winien* zapełnić, czy też raczej dopełnić w głębi własnego serca. Oto najważniejsza może zasada sztuki japońskiej wogóle, a także jej największa tajemnica i czar". Pokrywa się ona „z jedną z wielkich zasad TAO (doktryny Lao - Tse'go) t. j. z zasadą *vacuum*. Zarówno sztuka jak i filozofja krainy Wschodzącego Słońca stawiają sobie za zadanie budzić w konsumencie sztuki czy też wiedzy *siły współtworzenia* z filozofem czy artystą". „Uwielbienie dla wielkości niewcielonej idei i szacunek dla indywidualności profana, któremu należy dać sposobność do współtworzenia i dopowiedzenia... tego co nie zostało w pełni wyrażone w obrazie, skłania malarza do *zamilczenia*. Coś nadludzkiego, coś może najbardziej istotnego, nie przyjmuje formy linji i barw, a zostaje jakby w zawieszeniu pomiędzy linjami, lecz nie jako domyślnik lub zagadka, ale jako dyskretnie i subtelnie utajona rzeczywistość. Dlatego może na każdem klasycznem japońskiem „kakemono" spostrzec się daje to, o czem przed chwilą wspomnieliśmy, a mianowicie przestrzeń wolna, dziewicza, nietknięta przez pendzel artysty". Jest to ta „część integralna dzieła sztuki", która „zgodnie z zasadami Tao", winna dawać widzowi sposobność do zapełnienia tej części, tego „vacuum", tej pustej przestrzeni, czemś najbardziej świętem i osobistem... do niego tylko należącem, co zostanie nigdy nie wyjawioną tajemnicą, wyrafinowanem odczuciem, wejrzeniem tego widza-profana w jemu tylko w tej jednej chwili zachwytu dostępny świat ducha, gdzie bytuje źródło mistyczne jego istoty — jego wyższe, na ziemi jeszcze niezupełnie wcielone JA".

Gwałt zorganizowany

I. Na marginesie

Mimo tylu książek, artykułów, relacyj naocznych świadków, wciąż mało wiemy o Sowietach. Praca dra Korwina *) ma tę zaletę, że przez gruntowną analizę ustroju, przeprowadzoną z punktu widzenia znawcy prawa publicznego, unaocznia nam: 1) podstawowe różnice ustrojowe między sowieckim Wschodem a „burżuazyjnym" Zachodem, 2) strukturę organizacyjną całego systemu, oraz „państwa proletarjatu", jako jednej z jego części składowych, 3) konsekwencje socjalne i prawnopolityczne zastosowania in concreto integralnej marksowskiej doktryny na terenie rzeczywistości społecznej. Jest to niezmiernie ważne dla wyrobienia sobie o Sowietach sądu *sprawiedliwego;* a na sąd taki czas już najwyższy, jeżeli cywilizacja europejska chce uratować swój wielowiekowy dorobek twórczy i swój honor. Uważam, że jest to poniżej godności ludzkiej: dać się pociągać naoślep *w nieznane*. Tembardziej nie przystoi to całym narodom, a zwłaszcza tej wszech-społeczności europejskiej, która odziedziczyła po erze klasycznej wysoką kulturę intelektualną i prawną, a po chrystjanizmie ideje moralne i religijne najwyższe na jakie zdobyła się ludzkość w historji. Wprawdzie od czasu rewolucji francuskiej społeczność ta znalazła się na niebezpiecznem, pochyłem zboczu, wyzbywając się nieopatrznie wielu z tych kryterjów sumienia i intelektu, które sobie była wypracowała. Teraz jednak, gdy tuż obok niej ucieleśniło się — w postaci fascynująco koszmarnej — to, co możnaby nazwać *grzechem pierworodnym* przebudzonej świadomości człowieka nowoczesnego, Europa ma możność porównać, już nie w sferze teorji i „abstrakcji", lecz na terenie życia praktycznego, dotychczasowy swój dorobek i ideał cywilizacyjny z tem, co poddają jej Sowiety, jako ziszczenie jej odwiecznego mitu o dobrobycie, szczęściu, sprawiedliwości, wolności i pokoju powszechnym.

Sprawa jest zbyt poważna, by wolno było zdać się na instynkt czy przypadek. Taka czy inna decyzja może tu być już nieodwracalna, zadecydować w sposób definitywny o przyszłości. Era determinizmu historycznego ma się chyba już ku końcowi. Ludzkość umie dziś wpływać w dużej mierze na własny swój los i jest zdolna dokonać wyboru w pełni świadomości, aktem swobodnej, nieuwarunkowanej woli. A na tym piętrze świata moralnego, gdzie idzie o swobodne decyzje rozumu, rodzi się też tragiczny problemat *winy i kary*, przyczem związek przyczynowy tych dwu sił moralnych jest tu wewnętrzny. Kara nie spada zzewnątrz, jest ona nieuchronnem następstwem wyboru. Ponury przykład tego wzajemnego stosunku daje nam właśnie Rosja sowiecka, która przewraca się w męczarni na tem „madejowem łożu", które sobie sama usłała.

Klasycyzm i chrystjanizm — czy bolszewizm? Europa musi to rozsądzić. Jest to najważniejsze zagadnienie naszych czasów, dominujące nad wszystkiemi innemi. I jeśli sąd ten nie odbędzie się pod auspicjami rozumu, jeśli zwycięży „instynkt i histerja", upadek człowieka europejskiego nie da się niczem powstrzymać. Dwoma drogami, zarówno okrężnemi, przedostaje się bolszewizm do świadomości mas Zachodu: 1) pozytywną, przez bezkrytyczny podziw dla „wielkości eksperymentu", zaszczepiany narodom przez snobizującą hałastrę pseudo-klerków. 2) negatywną, przez kontrakcję społeczno-polityczną w skali masowej (typowy przykład: hitleryzm), posługującą się, dla względów taktycznych, podobnemi hasłami, środkami i metodami, co i bolszewizm. Obydwie te drogi w równej mierze pomijają kryterja rozumu. Ludzie nie lubią myśleć i mało jest takich, którzyby umieli się oprzeć umiejętnie lansowanym sugestjom. Doktrynę Marksa i Lenina zna niewielu, a tylko jednostki umiałyby przeprowadzić jej systematyczną krytykę z punktu widzenia dobrze ugruntowanego światopoglądu filozoficznego. Przeciętny t. zw. „inteligent" nie jest też w stanie, na podstawie luźnego materjału informacyjnego (istniejącego w postaci nielicznych książek, broszur i artykułów publicystycznych) ogarnąć całokształt przemian socjalnych, ekonomicznych i prawno-ustrojowych, dokonujących się na terenie Rosji sowieckiej. Postawa jego wobec tych spraw jest zwykle tylko emocjonalna. Coś mu się tam podoba, inne znów eksperymenty wydają mu się szkodliwe, niemoralne, ewentualnie nawet „szatańskie"; nie umiałby jednak wyjaśnić, dlaczego to jest dobre a tamto złe, lub na czem polega „szatańskość" i destrukcyjność niektórych posunięć. Ta fragmentaryczność i mglistość wyobrażeń o Sowietach jest główną przyczyną braku odporności na śliską propagandę różnych „poputczyków" bolszewizmu, od których roi się zarówno u nas, jak w wielu innych krajach Europy. Z drugiej strony, poprzez rządy i nowe systemy polityczne, które wypowiedziały bolszewizmowi walkę bezwzględną, przenikają znowuż do Europy metody, przyjmowane oportunistycznie ze Wschodu, że wspomnę tylko tezę wszechwładzy państwa, system jednej partji rządzącej, wykluczającej wszystkie inne, terror i przymus polityczny, walka z religją (narodowy socjalizm, na wzór komunizmu, chce być nietylko doktryną polityczną, lecz i religją), obozy koncentracyjne, będące przecież wynalazkiem bolszewickim, militaryzacja szkół, szkolnictwo „gleichschaltowane" i t. p.

Książka dra Korwina jest rzeczowem, objektywnem przedstawieniem rzeczywistości sowieckiej od strony jej struktury prawno-ustrojowej, ponieważ zaś ta ostatnia zazębia się z konieczności — przynajmniej formalnie — o wszystkie dziedziny życia jednostki w społeczeństwie, daje nam więc ta książka niejako *ogląd a totali* praktycznych konsekwencyj sowieckiego regime'u. Jeżeli umiemy czytać, nie gubiąc się w szczegółach, jeżeli umiemy wnioskować i syntetyzować, możemy sobie na jej podstawie wyrobić dość jasny sąd o panujących w Rosji dzisiejszej stosunkach. Wprawdzie jest to Rosja oglądana oczami prawnika, a ustrój prawny jest tylko jedną z wielu form życia, nie wyczerpującą całości jego funkcyj twórczych, ale społeczeństwo jest konkretem metafizycznym, w którym charakter całości musi się odbić na poszczególnych częściach. Zresztą myślącemu czytelnikowi wystarczy ta jedna konkluzja, jaką wyciągnie z książki dra Korwina: w Rosji sowieckiej *niema prawa;* skoro bowiem porówna on tę konkluzję z innemi — w książkach o Rosji, pisanych przez ludzi kościoła, sztuki, filozofji i t. d. — stwierdzającemi, że niema tam także religji, sztuki, filozofji, nawet nauki (w prawdziwem tego słowa znaczeniu), przekona się o rzeczy „cokolwiek" strasznej, a w każdym razie bardzo interesującej: że w Sowietach niema dziś niczego z tych wartości i funkcyj twórczych, które składają się na pojęcie człowieczeństwa, osobowości. Przekona się dalej, że niema tych wartości i funkcyj dlatego, bo je rozmyślnie *zniszczono*, i to w imię interesu kolektywu - społeczeństwa, które aby osiągnąć pełnię bytu, musiało wprzód — podług tej doktryny — unicestwić „to" co figuruje w kronikach wszechświata pod rubryką: człowiek. I przekona się wreszcie o rzeczy, która wygląda jeszcze bardziej niepokojąco, a mianowicie, że w Sowietach zniszczono wprawdzie osobowość dla społeczeństwa, ale równocześnie osiągnięto i ten efekt, że niema społeczeństwa. Czy i ten efekt był świadomie zamierzony, czy tylko przypadkowy, t. j. powstały poza wolą i wiedzą twórców tego systemu, dziś jeszcze zorjentować się trudno.

II. Architektonika ustroju

Spróbuję nakreślić poniżej w syntetycznych skrótach obraz rzeczywistości sowieckiej w jej przekroju prawno-politycznym, taki jaki zarysowuje przed nami książka dra Korwina. Sowiety są państwem nowego typu. W przeciwieństwie do państwa „burżuazyjnego", gdzie mniejszość narzuca swą wolę upośledzonej pod względem społecznym większości, ma to być państwo, w którem większość (wyzyskiwani) sprawuje rządy nad mniejszością (wyzyskiwaczami). W praktyce wygląda to inaczej, w istocie bowiem „w Z. S. R. R. władzę bezwzględną dyktatorską sprawuje partja komunistyczna, która liczy przeszło trzy miljony członków na 170.000.000 mieszkańców", znowuż więc mniejszość, i to rażąco uprzywilejowana, dominuje. Pozostańmy jednak na razie przy teoretycznych założeniach.

Pewien uczony prawnik francuski twierdzi, że Sowiety nie są państwem. Gdybyśmy rozpatrzyli to zagadnienie z punktu widzenia filozofji państwa Wrońskiego, okazałoby się, że ma on rację. Nie będę się jednak wdawał w te — dość skomplikowane — rozważania. Zdaniem dra Korwina są one państwem i to supra-autorytatywnem, absolutnem, wszechwładnem, tylko że jest to państwo... szczególnego autoramentu, jak to poniżej zobaczymy.

Państwo Proletarjatu w teorji i w praktyce

Podług Lenina trzy są podstawowe cechy „Państwa Proletarjatu", w przeciwstawieniu do państwa burżuazyjnego: 1) źródłem władzy nie jest w niem prawo, lecz zbrojny „zabór" władzy przez masy ludowe, 2) armja przestaje być odrębną „kastą", zastępuje ją uzbrojenie bezpośrednie całego narodu, t. j. mas chłopsko-robotniczych, 3) niema biurokracji, bo rządzi sobą sam lud, przez swych upełnomocnionych, których desygnuje i odwołuje w każdej chwili, według swej woli.

Czy postulaty te zostały w Sowietach spełnione, a co za tem idzie: czy Sowiety są Państwem Proletarjatu? Nie. Dlaczego? Źródłem władzy nie jest tam naród, lecz rządząca autokratycznie zdyscyplinowana jak zakon wojenny, partja komunistyczna, zaś ta zkolei wykonuje ślepo zlecenia „dziesięciogłowego Politbiura", które nb. znowuż podporządkowane jest woli najsilniejszej jednostki (obecnie Stalina). O uzbrojeniu mas niema mowy. Istnieje wojsko, jako kasta odrębna, zamknięta w sobie, uprzywilejowana. „Wojsko jest dobrze ubrane, doskonale wyekwipowane i żywione. Całe Z. S. R. R. na niego pracuje". Obecnie Sowiety są jedynem państwem na świecie, gdzie wojsko jest kastą jak w państwach absolutystycznych; gdzieindziej system ten ustąpił przekonaniu, że „tylko armja wolnych obywateli, oparta na pogotowiu całego narodu, może liczyć na zwycięstwo". Co do biurokracji urzędniczej, to wiadomo, że jest ona w Sowietach koszmarnie rozbudowana. Istnieje wprawdzie dekoracyjna „kontrola robotnicza" nad urzędami, i urzędnik nie jest w Sowietach stabilizowany, ale właśnie ta możliwość usunięcia go w każdej chwili, czyni go bezwolną marjonetką w rękach partji rządzącej.

Geneza i charakter ustroju

Teoretycznie ustrój sowiecki wyrósł z negacji państwa burżuazyjnego, którego djalektycznem przeciwieństwem miał być system radziecki. W zasadzie ustrój socjalny miał być w tym systemie swobodny, spontaniczny, pozapaństwowy. Przyszłe bezklasowe społeczeństwo ma być także bezpaństwowem. Ale praktyka poszła w innym kierunku. Symbolem tego był fakt „zlikwidowania" bezpaństwowców (anarchistów) już w r. 1919 przez czerezwyczajkę. Wszechpotęga państwa stała się najbardziej charakterystyczną cechą tego ustroju. Zawiódł też osławiony ekonomizm. Sowiety to nie „państwo gospodarcze", to przedewszystkiem dyktatura polityczna.

Praktycznie ustrój sowiecki kształtował się w ogniu rewolucji i wchłonął w siebie na stałe wszystkie jej cechy naczelne, przedewszystkiem zaś jej „stan wyjątkowy": rozpęd burzycielski, afekt nienawiści, histeryczne podniecenie i ustawiczne wrzenie. T. zw. „praworządność rewolucyjna" jest najtypowszą definicją istniejącego tam stanu rzeczy. Ustrój sowiecki nie jest właściwie ustrojem prawnym, w normalnem tego słowa znaczeniu, lecz właśnie stabilizacją rewolucji, rozbudowanem w system bezprawiem. Jest to niesłychanie ciekawem, w jak mistrzowski sposób potrafiono tam skonstruować tak olbrzymią maszynę buntu, chaosu i niszczenia, która będąc negacją wszelkiego ładu moralnego, jednocześnie sama utrzymuje się i dość precyzyjnie działa.

Zrodzony teoretycznie z przeciwieństwa do demokracji burżuazyjnej, a praktycznie z rewolucyjnej „action directe", ustrój ten ma jeszcze jedno znamię: tymczasowości, prowizorjum. W Sowietach wszystko jest „narazie", przyczem to realne „narazie" jest wprost przeciwne do abstrakcyjnego, utopijnego celu, który ma być ziszczony w przyszłości tak dalekiej, że aż przybiera postać mglistego, bezkrwistego mitu, przyodzianego w bezmyślnie cytowany dogmat i frazes. Ma być pacyfizm integralny, ale narazie jest najskrajniejszy militaryzm, ma być społeczeństwo bezpaństwowe, ale narazie jest biurokracja i wszechwładza policji tajnej, gorsza niż w Rosji carów, ma być samorząd pracy, ale narazie praca skrępowana jest przez przymus, wobec którego stosunki w państwach burżuazyjnych są ziemskim rajem; ma być dobrobyt, ale narazie jest głód; ma być doskonała swoboda, ale narazie jest gwałt i terror, i to nie zamaskowany, lecz głoszony otwarcie jako system rządzenia. Tu mamy źródło tego dziwnego, a w swym komizmie dość ponurego zjawiska, że system sowiecki polega na *kłamstwie*, usankcjonowanem jako metoda, i gdyby wyzbył się kłamstwa, musiałby runąć. Jak to kłamstwo wygląda w przekroju ustrojowym, zobaczymy poniżej.

Konstrukcja ogólna systemu

„Dzięki pomyślanej przez Lenina konstrukcji państwowej, władza tkwi niepodzielnie w mechaniźmie partji komunistycznej". Rosja sowiecka jako państwo jest tylko jedną z części składowych tego mechanizmu, jednym z organów w partji. „Rządzi faktycznie nie proletarjat, lecz średnia inteligencja, która stanowi większość absolutną nietylko w całym personelu urzędniczym, lecz także w samej partji komunistycznej", przyczem „dyktatura grupy rządzącej bynajmniej nie ogląda się na głos mas, od których otrzymała władzę". U góry jest Politbiuro, mózg centralny, niżej wszechzwiązkowa partja komunistyczna. Ta znowuż dzieli się u dołu na dwie odnogi: Komintern (III-cia Międzynarodówka), będący ekspozyturą partji poza granicami Rosji, oraz rząd Z. S. R. R., stanowiący znowuż taką samą ekspozyturę wewnątrz kraju. Komintern rządzi autokratycznie wszystkiemi „bratniemi" partjami komunistycznemi całego świata, z których „każda ma własny budżet, „plan działania" i etat urzędniczy"; przywódców na kraje europejskie „mianują i degradują jak urzędników". „Uchwały Politbiura... przepisują na blankietach Kominternu i „bratnich partyj komunistycznych". Tenże system obowiązuje względem urzędów sowieckich: Uchwały Politbiura przepisuje się na blankietach C. I K'u lub Sownarkomu i one właśnie uchodzą za dekrety władzy sowieckiej".

Organizacja państwa

Ustrój Państwa Proletarjatu unormowany jest wprawdzie przez postanowienia konstytucji, ale konstytucja z r. 1918 nie zasługuje właściwie na tę nazwę, jest bowiem zbiorem haseł programowych a nie norm pozytywnych, zaś konstytucja z r. 1925, mająca być poprawionem wydaniem poprzedniej jest właściwie stabilizacją gwałtu zorganizowanego, wykluczającego wolność obywatelską i narzuconego zgóry przez wolę partji, a nie zdołu, przez wolę ludu. Konstytucja ta nie jest ustawą, gdyż pojęcie prawa publicznego jest w Rosji sowieckiej zupełną fikcją; może ona być dowolnie zmieniana i łamana, w zależności od „celu rewolucyjnego", a sami teoretycy bolszewiccy stwierdzają, że w Sowietach niema różnicy między konstytucją, a zwykłym dekretem. Trudno zresztą mienić Konstytucją ustawodawstwo, które obowiązuje rządzonych, a nie obowiązuje rządzących, którzy stoją ponad wszelkiem prawem. Jak stwierdza prof. Mirkin-Gecewicz „obywatel sowiecki nie korzysta ze swobód osobistych dlatego, że zasady prawne państwa sowieckiego wykluczają samo pojęcie swobód osobistych *w państwie niemającem reguł objektywno-normatywnych, obowiązujących dla rządzących*".

Państwo Proletarjatu ma (i musi mieć zawsze, zdaniem teoretyków bolszewickich) ustrój radziecki. Sowiety są społeczeństwem dwu-stanowem, przyczem robotnicy są uprzywilejowani w porównaniu z chłopami w stosunku: jeden do pięciu. Lenin pisze: „Głos paru chłopów znaczy tyle, co głos jednego robotnika. Czy to niesprawiedliwe? Nie! To sprawiedliwe dla tej epoki, kiedy trzeba zniweczyć kapitał". Państwo Proletarjatu odrzuca więc zasadę równości i to nietylko w stosunku do „byłej" burżuazji („Tylko zdrajcy i idjoci — pisze Lenin — mogą żądać równości dla burżuazji"), lecz i wśród samego proletarjatu. Tworzy się już szlachta sowiecka, kasta uprzywilejowanych (komuniści, odznaczeni orderami, szturmowcy, komsomolcy, inżynierowie, biurokracja).

Struktura ustrojowa Sowietów, oglądana „z dołu do góry" wygląda tak: U podstawy sowiet (sielsowiet), wyżej Zjazd Sowietów, ten znów wyłania Centralny Komitet Wykonawczy (C. I. K.), dalej idzie Prezydjum C. I. K'u, wreszcie u szczytu Rada Komisarzy Ludowych (Sownarkom). W rzeczywistości porządek jest odwrotny: decyduje Sownarkom, który znowuż wypełnia ślepo zlecenia Politbiura. Jak to się robi, powiem zkolei poniżej.

W Sowietach niema wyborów indywidualnych. Głosują całe instytucje, fabryki, kolchozy i t. d. Stwarza to oczywiście specyficzny terror moralny. Pozbawieni praw obywatelskich (jest ich kilka miljonów) nie głosują. Osobną instytucję w państwie stanowi G. P. U., które stoi całkowicie poza i ponad prawem, decyduje co chce, zabija kogo chce i t. d. Ponieważ G. P. U. jest instytucją wszechzwiązkową, jedną dla wszystkich republik federalnych, z jakich składa się państwo sowieckie, więc jest ono wiązadłem, *kręgosłupem całego systemu*.

„Prawo" w Sowietach

Przystępujemy do kwestji najdrażliwszej. W jaki sposób funkcjonuje ta maszyna ustrojowa bez sprzeczności z samą sobą, mimo, że wszystko dzieje się odwrotnie, niż na papierze, t. j. gdy mniejszość dławi i terroryzuje masy, mimo, że wszystko jest pozornie nastawione na autentyczne, bezpośrednie rządy proletarjatu. Wyjaśni nam tę zagadkę tajemnicze „hokus pokus", jakiego dopuścili się bolszewicy w stosunku do samej idei *prawa*, licząc słusznie, że masy i tak się w tej abstrakcji nie zorjentują.

Powiedziano tak: Prawo bezwzględne nie istnieje. Jest to czcza fikcja, wymyślona przez burżuazję, dla zamaskowania jej sprytnych rządów nad masami. Nas nie obchodzi prawo, tylko interes proletarjatu. Powiedział Lenin: „chcemy zorganizować gwałt w imię interesów pracujących". Jaki jest „interes pracujących?" To wie najlepiej partja, jako „awangarda proletarjatu". Co postanowi partja, to będzie prawem.

Ponieważ partja rządzona jest przez Politbiuro, którego wola nie jest ograniczona żadnem prawem, więc cała Rosja jest stadem popędzanem przez kilka jednostek, cieszących się absolutną swawolą. „Kierujące organy dyktatury stoją *ponad wszelkiem prawem*, w tej liczbie i ponad własnemi zarządzeniami..." W Sowietach niema żadnego rozdziału władz; każdy organ dyktatury proletarjatu jest jednocześnie władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądową. Sąd sowiecki nie jest sądem, lecz „klasowym środkiem przymusu"; „sądownictwo jako samodzielna i niezawisła jednostka nie istnieje". Nie istnieje legalność sowiecka, lecz tylko „zgodność z celem rewolucyjnym", dowolnie interpretowanym przez rządzących. Teorją oficjalną jest gwałt na usługach jednej klasy, upoważnionej do ustawicznego niszczenia wszystkich innych. „Jest rzeczą niemożliwą przyznać charakter praw i ustaw normom prawa sowieckiego... Uczeni sowieccy usiłują stworzyć państwo na zasadach przeciwnych Państwu Prawa". „Co szczególnie różni państwo sowieckie od Państwa Prawa, to to, że *prawo nie gra w niem żadnej roli.* Jest to tylko pewna suma przepisów obowiązująca dla szarej masy rządzonych". W Sowietach nie odróżnia się faktu od prawa; ludzie ci zdają się wogóle nie rozumieć, czem jest prawo. „Według koncepcji Lenina: „relatywizm prawny" jest konsekwencją tego, że wszystko opiera się na gwałcie, oraz że prawo sowieckie jest hasłem propagandowem". „Praktyka absolutyzmu sowieckiego nie zawiera nic nowego w stosunku do despotyj wschodnich". „Prawo sowieckie jest przykładem prawa, które powstaje najzupełniej *poza sumieniem jednostek*, tworzących państwo". Wobec braku zagwarantowania praw jednostek, pognębienie ich wolności w prawie karnem stwarza jedynie logiczną i konsekwentną całość zniszczenia wolności obywateli w państwie sowieckiem".

Parjasi XX wieku

Rosja jest jedynym krajem nowożytnym, w którym wprowadzono niewolnictwo. „Liszeńcy" są to podwładni sowieccy pozbawieni praw obywatelskich. Na ich określenie wynalazła „dyktatura proletarjatu" straszny termin: „bywszyj czełowiek" (były człowiek), czyli „istota ludzka, a jednak nie mająca ani moralnego ani materjalnego prawa do nowego, socjalnego życia". Liszeńcami są byli członkowie klas posiadających, duchowni, chłopi-„kułacy", kupcy i t. d. W Europie pozbawienie praw obywatelskich już nie istnieje. Rosja liczyła takich nieszczęśników (w r. 1929) 2.635.690; później powiększono jeszcze tę liczbę. Należy przytem i to wziąć pod uwagę, że w Europie pozbawiony praw mógł jakoś egzystować, podczas gdy w Rosji „liszeńcy" są poprostu skazani na zagładę. Są oni wykluczeni z „giełdy pracy", nie mogą więc liczyć na żaden zarobek. „Liszeńców pozbawiono wogóle możności otrzymania kartek żywnościowych". Wysiedla się ich nierzadko z domów. Dzieci ich pozbawia się produktów tak niezbędnych, jak mleko, masło i jaja. „Zdarzały się nawet sporadyczne wypadki odmawiania pomocy lekarskiej. W ten sposób karano chorych za to, że byli dziećmi ludzi nieproletarjackiego pochodzenia". Dzieci liszeńców wyrzucano z zakładów naukowych, nieraz przed samem ukończeniem studjów. Ludziom tym odmawia się również korzystania z kultury. Dr. Korwin cytuje rozporządzenie zamykające „dostęp do Sali Bibljoteki osobom pozbawionym praw wyborczych", oraz zabraniające „wszelkiego wydawania książek". W niektórych okręgach „liczba pozbawionych praw obywatelskich dochodziła do 20 procent". „Pozbawiano praw wyborczych całemi grupami, niejako mechanicznie, np. wszystkich żołnierzy b. armji białej, zapominając, że była w znacznej części rekrutowana z poboru". Można zostać liszeńcem m. in. z następujących powodów: „element niewyjaśniony", „śpiewa w chórze cerkiewnym", „nielojalny", „otrzymuje alimenty", „skłonny do targowania", „modli się w meczecie". W sowieckich gazetach czyta się wciąż drobne ogłoszenia, w których dzieci i krewni liszeńców wyrzekają się publicznie wszelkich z nimi stosunków, aby zdobyć w ten sposób prawo do życia.

Niewola pracy

Państwo Proletarjatu miało dokonać w pierwszym rzędzie wyzwolenia pracy. Czy samorząd pracy w Rosji istnieje? Odpowiedź negatywna. Niewolnikami pracy są nietylko liszeńcy, których władze mają prawo w każdej chwili mobilizować „do wykonywania specjalnych robót użyteczności publicznej", lecz i ludność proletarjacka, a więc uprzywilejowana.

Praca przymusowa stosowana jest w skali masowej. Istnieje praca przymusowa inżynierów i techników skazanych za różne przewinienia. Najbardziej rażącą formą jest praca przymusowa w obozach koncentracyjnych, której podlegają w Rosji dziesiątki tysięcy ludzi (obyczaj ten przenosi się jak zaraza i do innych krajów). „Ich rękami wykonany został prawie całkowicie ogromny kanał łączący morze Białe z Bałtykiem"; „jest rzeczą dowiedzioną, że warunki pracy i sytuacja tych więźniów są wprost okropne", „sowieccy katorżnicy pracują w jeszcze gorszych warunkach niż ich poprzednicy na Sachalinie czy w Nerczyńsku".

W zakresie pracy normalnej ustawodawstwo sowieckie wprowadza „formę ograniczenia wolności pracy, nieznaną już dzisiaj w żadnem społeczeństwie cywilizowanem". „W listopadzie 1932 r. ukazał się nowy dekret rządu sowieckiego, nakazujący wydalenie robotników z pracy już w razie jednodniowego nieusprawiedliwionego niestawienia się, *z jednoczesnem odebraniem kartek na żywność i inne artykuły, oraz wysiedleniem z mieszkania*". Ostatnio skasowanie giełd pracy jeszcze mocniej zacieśniło pętlę „gdyż obecnie każdy porzucający pracę jest traktowany jako „łazik", a władza ma możność kierowania nowoprzybywających sił roboczych nie tam, gdzieby one chciały, a tam gdzie rząd uzna za stosowane i celowe". „Specjalnym typem przymusowego dysponowania przez czynniki rządzące pracą ludności są t. zw. mobilizacje na cele specjalne". Jaczejki partyjne wyznaczają poprostu, kogo należy wziąć do danej pracy, a „kandydat" nie ma możności uchylenia się; „jest stosowany niejednokrotnie nakaz dla wykwalifikowanych robotników powrotu do gałęzi pracy, którą w międzyczasie, a niejednokrotnie od lat wielu porzucili". „System faktycznego ograniczania swobody robotników i włościan przez aparat sowiecki jest dla pracujących tem cięższy, że zostali pozbawieni wszelkich środków obrony". W krajach kapitalistycznych bronią ich związki zawodowe i partja, mają też możność strajku; tu partja właśnie ich dławi a związki zawodowe są narzędziem przymusu. Państwo też nie jest arbitrem, jak w Europie, lecz przedsiębiorcą, i to najbardziej nieubłaganym. Od 1932 r. stosunki pogarszają się jeszcze, tak że wyzysk wciąż wzrasta. (Ostatnio wprowadza się też różnice płac i to w ogromnej skali, oraz przedział społeczny między masą roboczą a kierownikami fabryk).

W tym stanie rzeczy przyznać trzeba słuszność dr. Korwinowi, że najściślejszem będzie „nazwanie obecnego porządku społecznego w Z. S. R. R. kapitalizmem państwowym". Państwo sowieckie to gigantyczne przedsiębiorstwo kapitalistyczne z kliką partyjną na czele, rządzącą despotycznie bezsilną masą roboczą zapomocą garści ślepo oddanych dyrektorów i kierowników.

Kłamstwo na Kremlu

Jak to się jednak dzieje, że w Państwie Proletarjatu możliwem było zorganizować tak przerażającą niewolę mas ludowych? Otóż tu mamy właśnie ów „system kłamstwa", na którym opiera się cały ten ustrój i bez którego musiałby runąć. W obronie interesu pracujących zniszczono naprzód *prawo*, aby ich całkowicie pozbawić wolności osobistej. Następnie zbudowano taki ustrój, że nominalnie władza płynie z dołu — od sowietów i kołchozów ku szczytom sownarkomu — faktycznie zaś proces jest odwrotny, przyczem klika rządząca posługuje się zręcznie bezkrytycznym, niezorjentującym się dołem dla trzymania w ryzach samego aparatu rządowego, oraz dla wydawania dekretów, ciemiężących masy ludowe. W górze rodzi się wciąż mniejszość intelektualna niebezpieczna dla kliki, powstają ambicje, które muszą być ukrócone. Toteż Politbiuro „likwiduje" niewygodnych ludzi w rządzie zapomocą rzekomych postulatów mas (sowietów robotniczych), które w rzeczywistości ono samo im dyktuje. Podobnie dekrety Politbiura idą do fabryk, te uchwalają je posłusznie i ogłaszają jako ustawę, stworzoną pozornie przez „proletarjat pracujący". Masy ludowe nakładają na siebie ciężary własnemi rękami. „Przy atmosferze apatji i zrezygnowania, która panuje na zebraniach sowieckich, wytłumaczalne jest zjawisko, że proletarjusz nie zdobywa się na odwagę protestowania przeciwko obciążającej go bezpośrednio uchwale". „Gra jest na tyle sprytnie przeprowadzona, że w zasadzie robotnicy sowieccy ulegają sugestji, iż w wyniku ustroju sowieckiego zdobyli negowane im przedtem prawa". (Zresztą reklama jest dźwignią handlu i gdy się ludzi histeryzuje ustawicznem „napięciem rewolucyjnem", ogłusza ich plakatami, meetingami, hasłami i t. d. muszą wkońcu uwierzyć we wszystko, cokolwiekby im wmówiono).

Gwałt rządzi

Lenin sam stwierdza, że ustrój sowiecki jest „gwałtem zorganizowanym". Nic też dziwnego, że kręgosłupem tego systemu jest wszechwładne, wszędzie obecne, a niewidzialne G. P. U., które „wykonywa kontrolę nad wszelkiemi przejawami życia Z. S. R. R., nietylko politycznego, ale i gospodarczego, społecznego, kulturalnego i t. d.". Nic dziwnego, że w Rosji „niema reprezentacji ludowej" (bo faktycznie nominuje się urzędników), niema wolności pracy, niema praw jednostki, a zato panuje permanentny stan wyjątkowy. Nic dziwnego, że praktykuje się tam niewolnictwo, prześladuje religję, skazuje i zabija ludzi bez sądu. Nie dziwnego, że są tam na porządku dziennym „wysiedlenia", zarówno pojedyńcze, jak masowe.

W Sowietach każdy obywatel jest zdany na łaskę i niełaskę ciemnych sił, stojących u steru rządów i mogących dysponować jego losem, jak im się podoba. Każda jednostka może tam być unicestwiona bez oglądania się na jakiekolwiek „prawo". „Państwo jest domeną partji, która na jego polu przerabia swe eksperymenty". „Ustrój sowiecki ze swej istoty obcy jest reprezentacji ludowej". Norma nie egzystuje. Nawet cenzus pracy nie zawsze idzie w parze z cenzusem politycznym. Wydawane są ustawy tajne, które mimoto wszystkich obowiązują. „Według prawa zachodnio-europejskiego administracja nie może deportować obywatela, skazywać go na śmierć bez sądu, w Sowietach zaś stosowane jest to stale..."

W powieści „błagonadiożnego" bolszewika Gładkowa p. t. „Pijane słońce", czytamy, że zakłady dla nerwowo chorych są w Rosji przepełnione, 18-letni młodzieńcy są już prawie starcami, szerzy się chorobliwy, rozwydrzony seksualizm, alkoholizm i t. zw. huligaństwo Gładkow zdaje się dziwić temu. Z naszej perspektywy jest to zupełnie zrozumiałe. Ten system niszczy człowieka nietylko moralnie i duchowo, lecz i *biologicznie*.

Niszczycielska machina

System sowiecki przedstawia nam się jako olbrzymia, precyzyjnie zmontowana machina niszczycielska, niwelująca z jednej strony człowieczeństwo, jako wartość indywidualną, a z drugiej strony wszystko to co obejmujemy pojęciem historji. Jeśli powiemy — w schematycznym skrócie — że era starożytna stworzyła społeczeństwo gospodarcze, oparte na zasadzie własności, era klasyczna ideał sprawiedliwości i Państwo Prawa, średniowiecze religję, Kościół i reprezentację stanową, a oświecenie wolność myśli i prawa jednostki — to system sowiecki niszczy to dzieło wieków aż do korzenia. Ale niszczy on również zamierzchłe pierwotne społeczeństwo rodowe i rodzinę wogóle. Co stawia on na miejsce człowieczeństwa i historji? Mit materjalnego szczęścia — w przyszłości, w teraźniejszości zaś... koszmar i zbrodnię. *J. Braun.*

---

*) *Dr. Tadeusz Korwin: Podstawy ustrojowe Związku Sowieckiego.* Studjum polityczno-prawne. Warszawa 1933. Nakł. Księg. F. Hoesicka. Str. 268.

Zagadnienie młodego poety

Ilekroć myślę o takiej, niewiadomo czy ponętnej, sprawie, jak zagadnienie młodego poety, przychodzą mi na myśl, może wskutek prawa przeciwieństw, trzej „starsi panowie“, — dwóch Włochów i jeden Polak. Pierwszy — to współczesny filozof Benedetto Croce, a więc stosunkowo „młody staruszek“. Drugim jest bezsprzeczny starzec (zmarły przed stu dziewięćdziesięciu laty) Jan Baptysta Vico. Jan Baptysta jest dobrym znajomym Benedetta, a Benedetto bywa miłym gościem Karola Irzykowskiego z Polskiej Akademji Literatury. Croce jest twórcą spopularyzowanej u nas przez Irzykowskiego tezy: „każdy człowiek jest poetą“. Teza ta organicznie łączy się z inną: „poezja jest w każdem słowie“. W tem miejscu odczuwamy związek autora studjum p. t. „La filosofia di Giambattista Vico“ z autorem „Nowej Nauki“. Właściwie, to już Vico uczył o powszechności pierwiastków poetyckich. On uznał poezję za pierwszą metafizykę, ożywicielkę pierwotnych ludów. Mądrość poetycka jest pierwszą mądrością. Zaczyna się od metafizyki — mówi Vico — nie rozumowanej, ale odczuwanej i przepojonej wyobraźnią, jaką powinna być metafizyka ludów pierwotnych, niezdolnych jeszcze do rozumowania a podlegających potężnej zmysłowości i bujnej fantazji. W ten sposób i Vico, i Croce, i Irzykowski są winni, że pod terminem „młody poeta“ podejrzewam ukrywanie się młodego, twórczego, oryginalnego umysłu barbarzyńskiego, skupiającego w sobie jakieś najbardziej wartościowe i piękne pierwiastki barbarzyństwa. Pewnem potwierdzeniem tej tezy mogłoby być ciekawe zjawisko częstych skłonności do poezji wśród warstw ludowych: — niejeden nasz spracowany i pierwotnością przepojony wieśniak okazuje się biegłym rymopisem, czasami t. zw. urodzonym poetą bez wątpliwości. Dość, że w pojęciu „młody poeta“ mieści się podwojony niejako pierwiastek młodości i poezji. I ta okoliczność sprawia, że młody poeta jest do pewnego stopnia „cudem natury“. Zbliżmy się troszeczkę do tego cudu, pozwalając sobie gdzie niegdzie na jakąś maleńką niedyskrecję ze świata legendarnej u nas w tej dziedzinie introspekcji.

Sprawa młodego poety w Polsce powojennej jest zjawiskiem trochę nowem, a w każdym razie odmiennem od podobnego zagadnienia w okresie przedwojennym. Łączy się to wogóle ze sprawą poezji u nas. Przed wojną sprawa poety była rzeczą wzniosłą, poeta był jakby bogowiedzem Vicowskim, tworzącym mity podniosłe, zdolne wstrząsnąć do głębi słuchaczów i uczyć lud-naród działań „cnotliwych“. W okresie powojennym zmieniła się rola. Wskutek tej zmiany zagadnienie młodego poety (przedewszystkiem) stało się do pewnego stopnia problemem kłopotliwym, a często nawet nieprzyjemnym. Najrozmaitsze na to złożyły się powody. Myśląc kategorjami Vica, trzebaby określić, że zrealizowany w tym czasie nasz Jowisz narodowy nadał początek nowemu okresowi bałwochwalstwa, wróżbiarstwa i ofiarnictwa. Po okresie zwycięskiej walki nastąpił okres trochę biernego kultu. Dawna rola poety skończyła się. Przychodzi drugi okres szukania następnego bóstwa, tworzenia nowego mitu — rzecz znacznie trudniejsza, a w początkach z konieczności ogromnie zawikłana, wobec istnienia już tylko co pojmanego Jowisza. W każdym razie musiał nastąpić okres małych, krótkotrwałych i różnych mitów. Jakże trudno przemienić się z wielkiego bogowiedza w małego wieszczka! I jak demoralizująca jest taka przemiana. Każdy podobny upadek arystokratycznego klanu prowadzi do częściowego zwyrodnienia, awanturnictwa i ekstrawagancyj. Wszystkie wymienione momenty zaznaczyły się bardzo w ostatniem naszem piętnastoleciu, ale zbliżają się już szybko do zakończenia. Widocznie potrzeba było dłuższego czasu, by uspokoił się zamęt wywołany schwytaniem Jowisza i zbliżył się nowy okres działania mądrości poetyckiej, jako nowy wstęp — mówiąc jeszcze słowami Vica — do zmieniającej się również metafizyki narodowej. W każdym razie w naszym świecie poetyckim w ostatnich czasach coś się dogłębnie zmienia. Może to ów napływ nowego bogowiedztwa, przeczucie możliwości schwytania nowego wielkiego Jowisza. W tych okolicznościach problem młodego poety zaczyna naraz pięknieć, nabierać sympatycznych barw — i może niezadługo dawne jego rozterki pozostaną jedynie ponętnym materjałem dla zbieraczy ciekawostek poetyckich. Nie przesądzając jednak możliwości tej zmiany, zatrzymajmy się nad biednym i zdezorjentowanym jeszcze młodym poetą ostatniego piętnastolecia.

W rozwoju każdego niemal poety okres jego poetyckiej młodości jest „nadzwyczajnością“. Po tym okresie wstępu następuje rozszczepienie się drogi: poeta albo dochodzi do dojrzałości poetyckiej, twórczej, — albo załamuje się i powoli przestaje być poetą. Nadzwyczajność okresu młodzieńczego polega na tem, że poeta żywiołowością swej wiary, zachwytu, intuicji, może nawet natchnienia potrafi czasami, sporadycznie, nie posiadając własnego kośćca teoretycznego, dać utwory wartościowe i pozbawione najzupełniej szablonu, — prawdziwe wiersze. Chociaż tego rodzaju zjawiska zdarzają się rzadko, niemniej jednak są niezmiernie charakterystyczne. Streszcza się w tem zjawisku niemal jakieś prawo, regulujące naturalnemi widocznie normami sprawy twórczości. Młodzież otrzymuje od natury jakby immunitet wyrównawczy za niedostatek doświadczenia i inne braki, które może dopiero usunąć wiek dojrzały. Prawo to możnaby rozwijać jeszcze dalej. W miarę narastania lat i doświadczeń możliwości twórcze młodego poety wzrastają lub maleją. Wzrastają, — w miarę jak młody poeta dochodzi w upartym trudzie do zdobycia istotnego, własnego i prawdziwego poglądu na rzeczy poetyckie, — gdy zdobywa własny kręgosłup teoretyczny. I ten staje się ostatecznie sprawdzianem jego dojrzałości. Zaznaczone możliwości maleją, gdy poeta nie odczuwa, że „ustrój poetycki“ jest jak mikrokosmos, że w nim powinien być zawarty, jak w ziarnku piasku, miniaturowy wszechświat dany jego oczom i dla niego bez najdrobniejszego wyjątku prawdziwy. Jeżeli poeta nie dopracował się takiego poglądu, podlega jakby prawom odwetu: powoli przestaje być poetą, — jego działalność pisarska albo zanika (i to jest objawem dodatnim), albo poeta spada do rzędu pospolitych rymopisów, dając szablonowe, zdawkowe, bezwartościowe zestawienia słów. Może to „prawo“ nie objęłoby najgenjalniejszych poetów, — chociaż stawianie takiej tezy jest nadzwyczaj ryzykowne. Więcej prawdopodobieństwa leży w przypuszczeniu, że raczej zachodzą odmiany o charakterze miksantropicznym. Byliby to poeci, którzy połowicznie uczynili zadość naczelnemu postulatowi twórczości, lub odznaczający się wyjątkową intuicją w wyborze form.

Polska poezja powojenna dostarcza nam niezmiernie ciekawych i pouczających przykładów w tym zakresie. Przeciętny poeta, nie szukający mikrokosmosu w swych wierszach, przyjmujący beztrosko maniery innych za świat własny, zazwyczaj po dwóch, trzech tomikach „możliwych“, obiecujących wierszy, kompromituje się następnym zbiorem. Następuje nieuniknione załamanie się poety, gdy przestają działać przywileje wyrównawcze przysługujące młodym. Cały dramat. U poetów o silniej zorganizowanym talencie przedstawia się to trochę mniej dramatycznie, ale może to tylko pozory. Ci najczęściej utrzymują poziom osiągnięty w młodości, z tą zmianą, że osiągnięcia te stają się coraz bardziej artystostwem pozbawionem artyzmu, ekwilibrystyką zwiędłemi kwiatami słów, nieraz zatrważającą w zwyrodnieniu kulturalnem, zwłaszcza w zmechanizowaniu działań tam, gdzie wchodzi w grę stosunek treści do formy. Powstają więc wiersze pełne szablonowej wytworności, w których tyle jest poezji, ile szacunku w zwyczajnym ukłonie ulicznym. Piętnastolecie ostatnie dotknęło poezję polską bardzo silnie niezrozumiałym kultem teorjofobji, lub też krańcowem znowu i beznadziejnie biurokratycznem doktrynerstwem. Toteż z przyjemnością odczuwamy wiew odrodzeńczego prądu, który w ostatnim roku skierował, zdaje się, poezję naszą na właściwe drogi.

Omawiane bolączki poetyckie dotyczyły t. zw. formy, a właściwie stosunku poety do niej. Należy jeszcze zwrócić uwagę na niektóre bardzo charakterystyczne dla młodych poetów dzisiejszych skłonności treściowo-tematyczne. U poetów rozpatrywanego piętnastolecia uderzają pewne podobieństwa w zakresie motywiki poetyckiej. Dadzą się one ułożyć w kilka zespołów, i wskazują również na działające tutaj jakieś siły normatywne.

Można powiedzieć z niemałą ścisłością, że na przeciętny tomik dzisiejszego młodego poety, zwłaszcza tego, który najbardziej nadaje się na „bogowiedza“, składają się utwory, skupione obok czterech zazębiających się motywów. Są niemi — niepokój metafizyczny, terjomorficzny zoologizm, przejaskrawiony seksualizm i dosyć zdawkowy rewolucjonizm. Są to żywioły podobne do ognia, w którym młody poeta wyżywa się. U niektórych poetów działają te cztery motywy razem, składając się na szatańską niemal w swem ubarwieniu mozaikę. Częściej, oczywiście, działają poszczególne z wymienionych składników. Tęsknota metafizyczna najczęściej jest czynnikiem wspólnym, jednoczącym niejako poetów. Zjawiając się osobno, daje zazwyczaj kameralne nastroje, rozrywane od czasu do czasu buntowniczym okrzykiem lęku. Jest to rodzaj przedreligijności i przeddogmatyczności — jak zapewne nazwałby to Vico. U niektórych skłonności te przybierają postać bardziej przyziemną, dając t. zw. tęsknotę geograficzną, tęsknotę do egzotycznej dali. Być może w związku z temi odczuciami pozostaje inne uwarstwienie tematyczne, — to, które zaliczyliśmy do zespołu zoologicznego. W skłonnościach tych ukrywa się jakby objaw wciąż zmartwychwstającego terjomorfizmu. Ten charakterystyczny szczegół jakby potwierdzał starą koncepcję Jana Baptysty o pierwotnem bogowiedztwie poetów. A nas poucza, że „barbarzyński“ chaos współczesnej poezji posiada momenty wspólne z prawdziwie barbarzyńską mitologją. Nasz poetycki terjomorfizm powojenny przedstawia się mocno atawistycznie, i treścią swą przypomina najbardziej przestarzałe mity religijne z przed tysiącleci. Upostaciowanie zjawisk kosmicznych w kształtach wziętych ze świata zwierzęcego (bydło) stało się rzeczą pospolitą. Poprostu trudno dziś znaleźć tomik „nowocześniejszego“ poety, który byłby wolny od takiej motywiki. U niektórych przybiera to wyraz niezwykle jaskrawy, jakby istotnie mit krowy rozszerzał się podskórnie w społeczeństwie. W symbolice ludowej, przechowanej może jeszcze od czasów prawdziwego terjomorfizmu, istnieje skłonność do utożsamiania kobiety z krową, zwłaszcza jeżeli chodzi o momenty erotyczne. Spostrzegamy dziwne podobieństwo do tego szczegółu w poezji młodych. Trudno przesądzać, czy jest to rodzaj przypadkowej maniery i wzajemnego naśladownictwa, czy działają wśród poetów te same siły, które kierowały takiemi właśnie ścieżynami myśli i logikę ludów pierwotnych. Niektórzy zwolennicy psychoanalizy doszukują się w tematyce rewolucyjnej młodych poetów również pewnych pobudek erotycznych, a układanie takiego wiersza uważają za pretekst do wyżycia się seksualnego. Jakkolwiek twierdzenie to jest bardzo mało prawdopodobne, zasługuje jednak na uwagę spostrzeżenie freudystów o jakimś związku motywów rewolucyjnych z erotycznemi. Ale nie można bynajmniej generalizować tego zjawiska. Są typy młodych poetów, odznaczające się szczególną skłonnością do łączenia trzech motywów: erotyki, zoologji bydlęcej i rewolucji. Sądzę jednak, że działają tu raczej te same pierwotne reguły, które nakazywały naszym protoplastom pierwszym swoim bogom nadawać kształty krów i byków. W wyszczególnionych czterech uwarstwieniach tematycznych kryje się zapewne tylko stopień i jakość zachowanej siły pierwotnej, a właściwie twórczych momentów barbarzyństwa. Ten nawrót do barbarzyństwa jest zapewne wzbieraniem nowej siły, wstępem, widocznie koniecznym, do powstania nowych wielkich mitów.

To zestawienie poetów z barbarzyńcami niech nam jednak nie mąci spokoju. Na dobrą sprawę to chyba jeszcze wszyscy jesteśmy barbarzyńcami. Nie łudźmy się — nowocześni przedstawiciele „kulturalnych“ narodów europejskich pod niejednym względem są podobnymi barbarzyńcami, jak wodzowie klanów polinezyjskich. Ale jest także inny paradoks, na który proszę zwrócić uwagę: nowe wartości kulturalne tworzą umysły „barbarzyńskie“, oczywiście umysły tych wyjątkowych, szlachetnych, dobrych, mądrych barbarzyńców, słowem — genjalnych. Do tych wybrańców, otwierających nowe bramy, należą również poeci, twórcy pierwszej mądrości. Tak przynajmniej nauczał szlachetny filozof Jan Baptysta Vico.

Stanisław Czernik.

Demaskuję „mirohłady”

Jeszcze w nr. 31-ym „Wiadomości Literackich“ (z roku bież.) wydrukował Juljan Tuwim artykuł p. t. „Atulli mirohłady“... Są to wywody o glossolalji, jako o spontanicznem słowotwórstwie, które w pewnych warunkach przekształca się — zdaniem Tuwima — na swoisty „genre poetycki“, nazwany przezeń „poezją glossolaliczną“, albo „poezją pozarozumową“. Nie mam nic przeciwko badaniom nad tą dziedziną, gdyż może ona być — tak dobrze jak każda inna — przedmiotem analizy naukowej; zresztą sam autor artykułu nie wyciągnął ze swych przesłanek wniosków wyraźnie określonych, nie pozwalając sobie na zbyt jaskrawe tezy (nie powiedział, że ten typ glossolalji jest sztuką, lecz że „na warsztacie uczciwego poety“ stać się nią może). Toteż nie zabierałbym wcale głosu na ten temat, gdyby nie to, że artykuł Tuwima „rozpętał“ dyskusję, dając m. in. asumpt prof. Ingardenowi do wydrukowania (w „Wiad. Lit.“ nr. 43) czegoś zbliżonego już do studjum naukowego o nowym rodzaju twórczości poetyckiej: „mirohładach“. Ponieważ tedy wkrótce gotowiśmy się doczekać skądinąd grubego dzieła o „genezie, historji i estetyce mirohładu“, uważam zaś, że jest w Polsce dużo ważniejszych rzeczy do zrobienia, zmuszony jestem rozpęd ten nieco zahamować.

Zarówno tytuł, jak i treść artykułu Tuwima dowodzą, że chodziło w nim przedewszystkiem o ów wiersz o „mirohładach“, który tak zachwycił lubującego się w wyzutych z sensu śpiewnych brzmieniach autora „Słopiewni“, że radby w nim widzieć nieodparty argument dla swej tezy: „poezja glossolaliczna może być sztuką“. Dwuwiersz ten, w wersji podanej przez Tuwima brzmi następująco:

Atulli mirohłady, grobowe ucichy.
Mój młodniu, moje bulle i moje pupichy.

Nauczył się on tego dwuwiersza od Lechonia, który znowuż miał go słyszeć od Marjusza Maszyńskiego. „Autorem „mirohładów“ był podobno jakiś lokaj czy stangret we dworze“, który pisał wiersze. Genjusz taki. Nawet nie wiedział biedaczyna, że stworzył nowy „genre poetycki“.

Otóż Tuwim, jak z tego wynika, nie wie, że rzecz miała się zupełnie inaczej. „A jak się stało — opowiem“. „Zdawna już“, bo w r. 1917 w Krakowie, kuzyn mój, młody lekarz, interesujący się psychjatrją, podał mi tekst utworu, napisanego przez warjata w jednym ze znanych w Małopolsce zakładów dla obłąkanych. Tekst ten zanotowałem sobie (i zapamiętałem dokładnie). Kilka lat temu, bodaj że w r. 1926, a może trochę później, zarecytowałem ten „wiersz“ jednemu z młodych poetów warszawskiej „Kwadrygi“. Nie ulega wątpliwości, że ten podał go dalej, aż — po pewnym czasie — drogą pośrednią, poprzez Lechonia, „klejnocik“ ten dotarł do Tuwima. Nie wiem, czy w całości, bo Tuwim podaje tylko dwuwiersz, przyczem w wersji nieco przeinaczonej. Podaję tedy, dla porządku, tekst oryginału.

Trądu prądu natury pną się uczuć zdrowy,
Niezbite w otworzystość ani minerowy,
Achille mirohładu grobowe ucichy,
Mój młodniu, moja bulla, mumilli pupichy.

Gdyby mi chodziło tylko o dobry kawał, jak niektórym współpracownikom „Wiadomości Literackich“, dla których świat zaczyna się i kończy na dowcipie, mógłbym teraz natrząsać się z tych, którzy wzięli na serjo majaczenie warjata i gotowi byli odrazu nabudować na tej kruchej podstawie cały gmach refleksyj naukowych na temat poezji glossolalicznej itd. Słonimski nie przepuściłby tej sposobności. Już go widzę, jak chwyta pióro i cytuje z poważną — à la Buster Keaton — miną słowa prof. Ingardena: „Mirohłady“ nie są utworami muzycznemi, ale nie są też dziełami literackiemi w ścisłem tego słowa znaczeniu“. „Dla „mirohładów“ jest właśnie to charakterystyczne, iż układy brzmieniowe, opatrzone pewnym, takim lub innym charakterem uczuciowym, nie wyznaczają żadnej konkretnej, określonej sytuacji... lecz jedynie mgławicową zaródź... pewien rodzący się, ale ostatecznie nienarodzony świat, lotny i przemijający“ i t. d., i t. d. W świetle tej prawdy, że „mirohłady“ spłodził zwyczajny warjat z Kobierzyna, cytaty te mają niewątpliwie podźwięk komizmu. Rzecz naturalna, że Słonimski nie wykorzysta tego tematu, któżby bowiem ośmieszał pismo, w którem pracuje i w którem w dodatku zaangażował „znaczną forsę“. Kawał taki jest jednakowoż w jego typie.

W „Zecie“ nie eksploatuje się tego rodzaju kawałów. Toteż przejdę do porządku dziennego nad tem „qui pro quo“ (kto czem wojuje, od tego ginie — to pod adresem luminarzy przedwcześnie zgasłego „Qui pro quo“!), a zajmę się ogólnem podłożem naszkicowanego przez Tuwima problemu.

Czy glossolalia może być sztuką? Czy istnieje (i może istnieć) poezja pozarozumowa? Napewno nie. Jestem wytrwałym apologetą rozumu, którem to pojęciem obejmuję nie intelekt, czy rozsądek, lecz całą świadomą siebie osobowość, całe „Ja“ ludzkie, zdolne zarówno do aktów poznawania, jak do aktów uczucia i aktów woli. W samej istocie rozumu leży samorzutność twórcza, to też *tworzenie* odbywać się może tylko w obrębie rozumu. Tworzenie (w danym wypadku mowa o tworzeniu artystycznem) jest czynnością niezmiernie skomplikowaną, mającą swoją niezłomną logikę wewnętrzną, całą architektonikę funkcyj, które są przez nas w czasie procesu twórczego wykonywane. Chcąc stworzyć dzieło sztuki trzeba wprawić w ruch szereg czynników, trzeba panować nad tworzywem, ideą utworu i wszystkiemi narzędziami artystycznemi, jakiemi zwykł operować twórca. Ponieważ poezja jest tworzeniem, tworzenie zaś jest czynnością *rozumną*, poezja pozarozumowa *nie istnieje*.

A teraz o glossolalji. Jestem zwolennikiem porządku, systematyki, jako warunku dociekań naukowych. Tuwim napisał coś w rodzaju dyssertacji, prof. Ingarden podjął temat. Idzie tedy o rzecz serjo. W nauce nie można się obejść bez rozgraniczeń i klasyfikacji. Otóż uważam za konieczne odróżnić to, co nazywamy sztuką, od zagadnienia *twórczości językowej*, należącego do zakresu lingwistyki. Spontaniczne słowotwórstwo badamy w tym celu, by odkryć warunki powstawania mowy, tę pierwotną uczuciową i fonetyczną zaródź języków. Sztuka jest czemś zupełnie innem. Język jest wprawdzie nieodłącznem narzędziem wyrazu twórczego w tym dziale sztuki, który obejmujemy ogólną nazwą: literatury, ale spontaniczne słowotwórstwo wiąże się conajwyżej z kwestją *tworzywa poetyckiego*, nie może więc być poezją — samo w sobie. Co do glossolalji mistycznej, to wkraczamy tu na teren jeszcze jednej dyscypliny naukowej, tej mianowicie, która ma za przedmiot *demonologję*, a ściślej *mistycyzm*, jako specyficzną dziedzinę zjawisk meta — czy parapsychicznych. I znowu sztuka a mistycyzm to dwie dziedziny zupełnie różne. Można wybaczyć Tuwimowi, że je pomieszał, gdyż badania nad „mistycyzmem“ są dopiero w stadjum zaczątkowem, i dotąd panuje przerażający bałagan w tej dziedzinie. Trzeba mu jednak wskazać na to, że: 1) sfera zjawisk i stanów mistycznych jest w konkretnem tego słowa znaczeniu *pozarozumowa*, gdyż wywodzi się z t. zw. stazy psychicznej (sen, ekstaza, letarg, katalepsja, epilepsja, hypnoza, telepatja, taumaturgja, magja i t. p. fenomeny paranormalne duszy ludzkiej), nie ma więc nic wspólnego ze sztuką, która jest czynnością par excellence *rozumową;* 2) sfera zjawisk i stanów mistycznych graniczy natomiast — jak to stwierdzono — z dziedziną psychopatologji.

Prawie wszystkie przykłady rzekomej poezji glossolalicznej, cytowane przez Tuwima, należą więc albo do glossolalji mistycznej, albo do glossolalji patologicznej, albo wreszcie do słowotwórstwa spontanicznego, które dla twórcy może mieć conajwyżej walor tworzywa. „Mirohłady“ należą oczywiście do kategorji glossolalji patologicznej, a dedukcję te potwierdza fakt, że wyszły one **z pod pióra obłąkanego**; można się conajwyżej zastanowić, czy był w świadomości ich „twórcy“ jakiś akt celowej konstrukcji, bez którego nie może być mowy o sztuce.

Pomiędzy glossolalją a poezją zachodzi conajmniej takie przeciwieństwo, jak między majaczeniem sennem, a jawą. Potok majaków sennych jest bezwolny; tak samo bezwolny jest bełkot glossolaliczny. Glossolalja dziecięca znika, gdy skrystalizuje się świadoma siebie osobowość; naodwrót zaś, bez jedni osobowości nie powstanie nigdy dzieło sztuki. Mówi się wprawdzie o „szale“, o „twórczości djonizyjskiej“, gdzie „jakaś ręka prowadzi nasze pióro“, jest to jednak tylko naiwne określenie tego stanu napięcia osobowości, które dla niezwykłości swej wydaje nam się czemś nadświadomem.

Pozostaje kwestja „słopiewni“. Tu wchodzi w grę moment konstrukcji świadomej a nie notowania bełkotu glossolalicznego, który powstaje w nas bez udziału naszej woli i samowiedzy. Toteż „słopiewnie“ są poezją: ich pokrewieństwo z „mirohładami“ jest pozorne. Wprawdzie i tu i tam element znaczeniowy jest wyeliminowany, a pozostaje tylko „warstwa brzmieniowa“, ale w „mirohładzie“ brzmienie powstaje samo dla siebie (a może nawet i ono jest przypadkowe), zaś w „słopiewniach“, idzie albo o suggestje onomatopeiczne, albo o t. zw. napięcia kierunkowe (vide: estetyka Witkiewicza), wywołane podobieństwem i odmiennością zarazem użytych słów, w stosunku do słów rzeczywistych polskiej mowy.

Inna rzecz, że „słopiewnie“ są rodzajem poezji najuboższym. Sztuka ma swoje prawa, działy, elementy składowe. To co wystarcza w muzyce, jest niedostatecznem i nawet mało istotnem w poezji. Poezja jest sztuką „wielowarstwową“ (że użyję terminologji prof. Ingardena). Im więcej warstw, im więcej elementów konstrukcyjnych — tem bardziej skomplikowanem staje się zadanie twórcy. Odrzucać wszystkie warstwy poezji (obrazową, znaczeniową i t. p.), a zostawić tylko jedną: brzmieniową, to zubożyć jej potencjał artystyczny o ogrom możliwości i ułatwić sobie problemat w sposób niedozwolony. Chyba, że idzie o eksperyment, który może być dla twórcy ważny i płodny. Nie wolno jednak żądać od czytelnika i słuchacza, aby ten uboższy i eksperymentalny jedynie gatunek poezji kładł wyżej od twórczości pełnowartościowej, uwzględniającej wszystkie warstwy, wszystkie postulaty DZIEŁA.

J. Braun.

Panta di' autu egeneto

Rozum jest to władza wytwarzania warunków.

Być sprzecznym z rozumem, znaczy to nie czynić zadość warunkom, które rozum sam dla siebie wytworzył.

Niemożliwe jest to, co jest sprzeczne z rozumem.

Możliwe jest to, co nie jest sprzeczne z rozumem.

Faktyczne (efektywne) jest to, co jest możliwe, a czego współ-możliwe alternatywy są w danych okolicznościach skasowane.

Konieczne jest to, czego alternatywa, jako sprzeczna z rozumem i przeto niemożliwa, jest, w danych i wogóle w każdych okolicznościach, skasowana.

Celem absolutnym wszechświata jest MAXIMUM RZECZYWISTOŚCI.

Być bardziej rzeczywistym, znaczy to zawierać w sobie większą ilość warunków, potrzebnych do własnego autonomicznego istnienia.

Konieczność jest bardziej rzeczywista niż faktyczność; faktyczność bardziej niż możliwość: możliwość bardziej niż indeterminacja absolutna czyli nicość. Ta ostatnia jest pozbawieniem wszelkiej rzeczywistości, a więc pojemnością na wszelką rzeczywistość.

Bezwzględną — bo wiekuiście samostwórczą — pełnię determinacyj nazwijmy duchem; bezwzględną próżnię determinacyj — nicością. Gdy duch, by nadać sobie substancjalne niejako oparcie, rzutuje nazewnątrz i przeto aktualizuje jedną jedyną z pośród swych wirtualnych determinacyj, a mianowicie *istnienie*, powstaje stąd *byt* (bezokreślny); sam zaś duch, uszczuplony o tę jedną bezwładną determinację i przeto usamorzutniony, staje się *wiedzą*. Możnaby więc cum grano salis powiedzieć: „duch — istnienie = wiedza" i „nicość + istnienie = byt (bezokreślny)". Nato, by powstała rzeczywistość, wiedza musi zneutralizować z tym bezokreślnym jeszcze bytem inne z pomiędzy swych niewyczerpanych determinacyj.

Celowy układ wszechświata, dążąc do maximum rzeczywistości, wywiera nacisk na bezwład, pchając go od indeterminacji do możliwości, od możliwości do faktyczności; w tem tkwi źródło przyczynowości.

Warunkowość jest to związek zależności pomiędzy warunkiem jako poprzednikiem a uwarunkowanem jako następnikiem.

Warunkiem jest to, co indeterminację absolutną zmienia w możliwość. — Przypuśćmy, że zapałka może się zapalić tylko przez potarcie; w takim razie potarcie jest warunkiem, możliwość zaś zapalenia się — uwarunkowanem. Bez tego warunku nie istniałaby nawet sama ta możliwość.

Przyczynowość jest to związek zależności pomiędzy przyczyną jako poprzednikiem a skutkiem jako następnikiem.

Przyczyną jest to, co zmienia możliwość w faktyczność, przez skasowanie współ-możliwości. — Zapałka może się palić lub nie; ani jedno ani drugie nie jest sprzeczne z rozumem; pod naciskiem celowego układu wszechświata, obie te możliwości „tłoczą się" niejako do istnienia; ale potarcie (jako przyczyna) skasowało możliwość niepalenia się, tem samem aktualizując palenie się (jako skutek).

Przyczynowość jest bezwładna, gdyż ma zastosowanie tylko w istnieniu czyli bycie, a więc w bezwładnym składniku rzeczywistości. Działa ona z koniecznością objektywną, płynącą stąd, że byłoby sprzeczne z rozumem, gdyby byt, rdzennie bezwładny, mógł w jakimkolwiek stopniu wpływać na heteronomicznie się w nim odbywające przebiegi.

Celowość jest to związek zależności pomiędzy środkiem jako poprzednikiem a celem jako następnikiem.

Celem jest to, co determinuje samorzutne uruchomienie bezwładnej przyczynowości. — *Aby* zapałka się zapaliła (cel), *należy* ją potrzeć (środek). — Tu następnik (cel — skutek — uwarunkowane) staje w pewnym sensie *przed* przyczyną a nawet przed samym warunkiem, i w ten sposób doskonale zamyka koło.

Celowość jest samorzutna. Rodzi się w *wiedzy;* działa — zapomocą przyczynowości — *w bycie*, który swą substancjalnością dostarcza jej niezbędnej *siły;* ziszcza się w spełnionej *rzeczywistości*.

Rzeczywistość, w swym nierozwiniętym zarodku, jest prostą neutralizacją wiedzy z bytem. Im zewnętrzniejszy jest byt względem odpowiadającej mu wiedzy, t. zn. im mniej stanowi on jej własne dzieło, tem niższy stopień rzeczywistości. Najwyższy stopień rzeczywistości przysługuje Bogu, gdyż w Nim *fakt* jego aktu stwórczego jest jego bytem czyli istnieniem. Człowiek ma wprawdzie heteronomiczny, nie przez siebie stworzony ustrój fizyczny, ale może się czuć czemś od tego ustroju odrębnem dlatego właśnie, że jego wiedza posiada własny, przynajmniej potencjalny, byt wewnętrzny: doznajemy swą „duszę" nietylko jako coś działającego, lecz i jako coś — dzięki właśnie temu działaniu — istniejącego. Zwierzę nie odróżnia siebie od swego ciała, bo wiedza zwierzęcia nie wytwarza sobie własnego wnętrznego bytu; drętwieje ono lub zasypia z chwilą, gdy przestaje działać pragmatycznie, t. j. gdy bodźce fizyczne przestają budzić jego mętną świadomość; to tak, jakby ktoś tylko póty czuł, że istnieje, póki widzi się w lustrze. Świadomość to wiedność jaźni, w przeciwstawieniu do wyobrażenia, które jest wiednością niejaźni; w roślinie nawet i takie rozróżnienie na podmiot i przedmiot już nie zachodzi: cała jej zaczątkowa wiedność neutralizuje się bez reszty z funkcjami fizjologicznemi, nie stać jej na nic więcej. Kamieniowi (czy wszelkiej innej rzeczy „martwej") nie odpowiada już wogóle żadna wiedza wsobna: może on istnieć tylko w funkcji przedmiotu, t. zn. tylko stawszy się przedmiotem czyjejś wiedzy, która, syntetyzując się z nim w wyobrażeniu, tem samem wytwarza jego czysto przygodną (kontyngentną) rzeczywistość. W grubych siłach przyrody, rozdział między bytem a wiedzą posunięty jest tak daleko, że już i dla wiedzy obcej (mowa tu o poznawczej, nie o genetycznej) nie mogą się one stać przedmiotem inaczej niż przez hipotetyczną indukcję. Nicość wreszcie — to już nie najniższy, ale *żaden* stopień rzeczywistości; nie odpowiada jej żadne wyobrażenie, a przedmiotem myśli staje się ona tylko jako absolutne pozbawienie rzeczywistości.

Faktyczność jest poniekąd neutralizacją możliwości z koniecznością, gdyż jej alternatywy są — jak w konieczności — skasowane, lecz zarazem te skasowane alternatywy — jak i w możliwości — nie muszą być sprzeczne z rozumem. — Np. zasada sprzeczności jest *konieczna*, bo jej alternatywy są niedorzeczne. Śnieg *mógłby* być zielony, czerwony, niebieski, bo to wszystko nie zawiera niedorzeczności. Śnieg *faktycznie* jest biały, bo takim uczynił go dany zespół przyczyn, choć inne jego zabarwienie nie byłoby sprzeczne z rozumem.

Warunkowość jest neutralizacją oraz wspólnem *źródłem* przyczynowości i celowości, gdyż uwarunkowane stanowi zarazem wynik czyli *skutek* warunku, będącego w ten sposób *przyczyną*, i pobudkę czyli *cel* działania samegoż warunku, stającego się w ten sposób *środkiem*. Że zaś całkowicie rozumieć coś jest to znać jego „dlaczego?" i „poco?", więc też warunkowość stanowi absolutną rację bytu wszechświata.

Jan bije Piotra; w pewnem znaczeniu, rezultatem jest cierpienie Piotra. Ale jest to rezultat *zewnętrzny* względem samego bicia: w znaczeniu bardziej bezpośredniem, rezultatem jest sam *cios* jako fakt istniejący. Gdybyśmy postrzegali nie pod formą czasu, t. j. znikających kolejno chwil, lecz całościowo, ów cios przedstawiłby się nam jako pewien *byt* stężały. Podobnież gdy myślę, to bezpośrednim rezultatem jest samo *istnienie* owego „myślę", czyli *myśl*. Gdy myśl nie działa, to niema jej wogóle; gdy działa, to eo ipso zakłada własny byt czyli istnienie. Ten akt samowytwarzania się, w jego czysto czasownikowej postaci (np. tutaj „myślę", „myśleć"), nazwijmy za Wrońskim *autogenją;* ten zaś fakt — w jego rzeczownikowej postaci — samozakładania się, stężania się w byt, nazwijmy *autotezją*.

U podstaw wszechświata leży samostwórczy Akt Boga. Sam w sobie bezwzględnie jeden, może on przecież — w powyższem znaczeniu — być rozważany pod dwiema postaciami owych *fiat!* i *ens*, a wówczas jawi on w całej schematycznej czystości swe biegunowe składniki: Autogenję i Autotezję. Wspólnem *źródłem* obu jest ich postać jeszcze zneutralizowana: niewysłowny punkt wyjścia Aktu stwórczego: samaż Warunkowość. Zaktualizowana, warunkowość polaryzuje się na warunek i uwarunkowane; pierwszy się rozwija w autogenję — celowość. drugie w autotezję — przyczynowość.

W świecie, czyli dziele stworzonem, tym biegunowym składnikom odpowiadają wiedza i byt. Przyczynowość mieści się zawsze po stronie bytu, celowość zawsze po stronie wiedzy; to, co się w wiedzy może wydać przyczynowością, przy ścisłej analizie okaże się zawsze celowością; podobnie to, co w bycie wyda się celowem, jest we własnym zakresie czysto przyczynowe, a cechę celowości nadaje mu tylko bądź pochodzenie od wiedzy, bądź harmonizujący wpływ wiedzy.

Toteż autotezja jest sferą *logizmu*, który polega na koniecznym związku zależności między zasadą a następstwem, przyczyną a skutkiem. Można logicznie dedukować z przyczyny skutek i indukować ze skutku przyczynę, dlatego właśnie, że panuje tu bezwład; stałoby się to wnioskowanie niepodobieństwem, gdyby przyczyna mogła samorzutnie wpływać na zmianę swych skutków. — Natomiast sferą autogenji jest *hiperlogizm*, który polega na wolnym związku zależności między środkiem a celem. Znając czyjś cel, nie mogę ustalić, jakie będą użyte środki; znając środki, nie mogę dedukować celu — aktualnie wszak jeszcze nie istniejącego — inaczej niż przez samorzutne odtworzenie go, a więc subjektywne stworzenie we własnej wiedzy. Tam zatem, gdzie chodzi o czystą celowość, bierna logika poznawcza traci zastosowanie; jedynym sposobem jest: utożsamić swą wiedzę z wiedzą, której twórczość pragniemy zrozumieć. Toteż: 1) hiperlogizm nie jest ani *nielogicznością*, czyli sprzecznością rozumu z własnemi zasadami — gdy tymczasem jedynem źródłem wszystkich zasad logicznych jest właśnie tenże hiperlogizm, absolutna samorzutność rozumu; ani *irracjonalnością*, która znaczy tyle co rdzenna nieujętość rzeczywistości przez rozum — co w świetle naszych wywodów jest nonsensem. 2) Aby rozumieć celowość, trzeba ją współtworzyć.

Przypuśćmy, że pierwszy raz widzę zegar. Mogę go zbadać najdokładniej i pojąć, że ruch skazówek jest skutkiem takich a takich przyczyn. Atoli „mierzenie czasu" nie jest zawarte w żadnej części zegara ani w jego całości, toteż cel ten — transcendentny w stosunku do zegara — koniecznie trzeba „odgadnąć": samo badanie analityczne mechanizmu nic tu nie pomoże.

Dyskursywnie rozszczepiwszy Akt stwórczy na dwa biegunowe składniki, możemy rozpatrywać każdy z nich oddzielnie, abstrahując chwilowo od egzystencji drugiego. Rzecz jasna wszakże, iż taki zupełny rozdział jest możliwy tylko w abstrakcji; akt samowytwarzania się (autogenja), który za rezultat nie miałby faktu samowytworzenia się (autotezji), byłby właściwie stwarzaniem... pustki. W rzeczywistości muszą one współistnieć, lub raczej istnieć jedno dzięki drugiemu. To zaś możliwe jest dwojako: 1) albo przez całkowitą neutralizację, kasującą ich biegunowość, — co właśnie widzimy w ich wspólnem źródle t. j. w Warunkowości; 2) albo, gdy się już spolaryzowały, przez ich harmonję czyli wpływ wzajemny, — a to właśnie zachodzi w tem, cośmy nazwali duchem, a co teraz określimy ściślej.

Autogenja jest władzą nieograniczonego wytwarzania możliwych determinacyj. Duch — to ta sama autogenja, ale już, mówiąc przenośnie, „rzutująca swe determinacje na ekran autotezji", stężająca je w aktualne istnienie. Tutaj autogenja wsącza swą celowość do autotezji, biorąc sobie przyczynowość tej ostatniej za narzędzie do aktualizacji swych zamierzeń; autotezja, przez swą niejako substancjalność, pragmatyzuje autogenję, czyni ją skuteczną w konkrecie.

Formą przedmiotu N jest granica między N a nie - N, t. zn. określenie N przez wszystko, co nie jest nim samym, t. zn. stosunek N do wszystkiego, co nim nie jest. — Otóż formą ducha jest *prawda*.

Co jest prawda? — pada Piłatowe pytanie.

Odpowiedź brzmi zazwyczaj: Zgodność z rzeczywistością. — Ale przedewszystkiem, zgodność *czego* z rzeczywistością? A choćbyśmy uzupełnili: zgodność naszej wiedzy, to i tak tautologja jest aż nazbyt jawna; jeśli bowiem uznam rzeczywistość za coś wręcz zewnętrznego, niezawisłego od mej wiedzy, to nato, by móc stwierdzić tę zgodność, muszę najpierw znać ową rzeczywistość... prawdziwie. Wadliwe więc będzie wszelkie określenie, któreby chciało umieścić prawdę gdzieś *pomiędzy* wiedzą jako podmiotem, a genetycznie od niej niezależną rzeczywistością jako przedmiotem. Prawda zachodzi tylko wewnątrz samej wiedzy: jest nią mianowicie *zgodność rozumu z jego wytworami*, czyli właśnie forma harmonji między autogenją a autotezją, więc: forma ducha.

W świecie chrematycznym (rzeczy stworzonych) wszelka rzeczywistość powstaje z neutralizacji heteronomicznego względem nas *bytu* z naszą *wiedzą;* prawdą jest wówczas zgodność między naszą wiedzą wewnętrzną a jej wytworem, t. j. wiedzą zneutralizowaną w *rzeczach*. Mówię prawdę wówczas, gdy zachodzi zgodność mego „myślę" z jego wytworem, t. j. z myślą wyrażoną. Kłamię, gdy rozmyślnie wypaczam tę zgodność. Mylę się, gdy sam wytwór został sprawiony niedokładnie, bez uwzględnienia wszystkich warunków, i gdy dlatego zgodność jest pozorna: np. o śpiącym wężu myślę, że to kij, bom uwzględnił jedynie wrażenia wzrokowe; albo: miałem bardzo żywą halucynację stołu i wierzę, że to stół rzeczywisty; lecz gdybym na nim postawił szklankę, zarazbym się przekonał, że nie posiada on wszystkich cech stołu „prawdziwego". — W empirycznem poznaniu faktów, zawsze zachodzi możliwość błędu, gdyż doświadczenie nigdy nas nie poucza o wszystkich warunkach danego przedmiotu; toteż płynąca zeń pewność jest czysto *problematyczna*. Poznanie rządzących faktami praw daje już pewność *asertoryczną*. W logice i matematyce, których wytwory są konieczne, mamy pewność *apodyktyczną*. Jeszcze wyższy stopień pewności zachodzi tam, gdzie nietylko składnik wiedny danej rzeczywistości, ale cała ona jest genetycznie zależna od naszej twórczej wiedzy: więc np. Mickiewicz nie mógł się mylić, że Pan Tadeusz naprawdę kocha Zosię, boć uczucia Pana Tadeusza były całkowicie zależne od woli Mickiewicza. — Atoli pewność *absolutną* mamy w świecie achrematycznym (zasad stwórczych), gdzie autotezja stanowi bezpośredni rezultat autogenji i przeto zgodność między niemi jest bezwzględna. Tu samo przypuszczenie możliwości błędu byłoby absurdem.

Autogenję i autotezję rozpatrzyliśmy trojako: 1) w ich neutralizacji (warunkowość), gdzie ich odrębne cechy kasują się nawzajem; 2) w polaryzacji, gdzie się każda z nich jawi w abstrakcyjnem oderwaniu od drugiej i od wspólnego źródła; 3) w ich harmonji (duch). — Jeśli wolno użyć tak grubej analogji: neutralizacja to nasionko rośliny, polaryzacja to dążność kiełka wzwyż, nad ziemię, oraz przeciwstawna dążność kiełka wdół, wgłąb ziemi, wreszcie harmonja — to celowa równowaga tych dwu dążności we wspólnym planie rośliny. Ale wszak konkretnie żadna z nich nie da się ziścić bez łączności z nasionkiem; tak tedy kombinacja dążności wzwyż z nasionkiem realizuje się w łodygę, kombinacja zaś dążności wdół z nasionkiem realizuje się w korzeń.

Teraz porzućmy ten zmysłowy obraz i rozważmy, jak się wyrażą odnośne połączenia autogenji oraz autotezji z ich wspólnem podłożem t. j. z warunkowością. — Już wiemy, że źródłem wszelkiej wogóle możliwości jest warunkowość. W tej ostatniej rozróżniamy: *warunek*, czyli to, co wszelką możliwość wytwarza, tudzież *uwarunkowane*, czyli możliwość wytworzoną. Przy spełnionej polaryzacji, pierwszy rozwija się w samorzutną autogenję - celowość, drugie w bezwładną autotezję - przyczynowość. A zatem połączenie autogenji z warunkowością wzbogaca tę pierwszą o *uwarunkowane*, czyli że, wskutek swej samorzutności, może ona teraz dowolnie wpływać na samoż powstawanie wszelkiej możliwości: a to w całej pełni odpowiada pojęciu bezgranicznej WOLNOŚCI. Z drugiej strony, połączenie autotezji z warunkowością wiąże tę pierwszą z *warunkiem*, na który, wskutek swego bezwładu, żadną miarą nie może ona wpływać, lecz owszem jest odeń bezwzględnie i ślepo zależna: a to odpowiada pojęciu bezgranicznej KONIECZNOŚCI. — Tak tedy dwoma skrajnie biegunowemi aspektami Bóstwa są: Wolność i Konieczność.

Powiedzieliśmy, że celem absolutnym wszechświata jest *maximum rzeczywistości*. Wszelka wogóle rzeczywistość powstaje z syntezy wiedzy i bytu. Minimum rzeczywistości — właściwie jej zarodek dopiero — mamy wtedy, gdy ta synteza jest prostą neutralizacją, kasującą biegunowość. Rzeczywistość jest tem pełniejsza, im pełniej rozwinięte bieguny zostają w niej utożsamione. Więc, exempli gratia, minimum rzeczywistości płciowej ma obojniak, w którym męskość i żeńskość są poprostu zneutralizowane, maximum zaś — synteza dwojga w pełni rozwiniętych osobników płci odmiennej.

Otóż w całym wszechświecie nie da się pomyśleć biegunowość pełniejsza i krańcowsza nad tę, która zachodzi pomiędzy wolnością a koniecznością. Toteż ich - to synteza, ich tożsamość systematyczna, da szukane maximum rzeczywistości. Ta zaś synteza — to absolutna POTENCJALNOŚĆ, której hipostazą jest Bóg. W Nim wolność i konieczność są identycznie tem samem. Bóg może wszystko: i na tem polega Jego wolność. Ale na tem samem polega zarazem i jego konieczność; boć koniecznem jest to, co nie może być inne niż jest; otóż Bóg, będąc taki właśnie, jakim chce być, eo ipso nie może być inny niż jest [1]).

Bóg jest wszechwiedny, wszechmądry, wszechmocny: to Jego *wolność*. Ale stąd bezpośrednio wypływa dlań *konieczność* wytwarzania samej tylko Prawdy (która jest właśnie zgodnością wytworu z rozumem) i samego tylko Dobra (które jest właśnie bytem takim, jakim go chce mieć wiedza).

Rozum człowieka jest wolny. Możemy i powinniśmy sami wytworzyć swe cele absolutne. Ale ideałem rozumu nie może być nic innego, tylko absolutne dobro i prawda: a te są właśnie przedmiotem twórczości Bożej. Dlatego też, w swej kulminacji, nasza autotelja, celowość własna, ROZUM, utożsami się — zarazem wolnie i koniecznie — z naszą heterotelją, PRZEZNACZENIEM, celowością Bożą, która przyświeca Stwórcy, tworzącemu wszechświat i Człowieka.

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

[1]) Przypuśćmy, że każda wola monarchy automatycznie staje się prawem: w takim razie wola monarchy w żaden sposób nie może wyjść poza prawo. (Mnie samemu przykry jest pozorny pedantyzm tych uwag; ale cóż! idzie mi o prawdę, nie o lekkość wysłowienia).

Czas odnowić prenumeratę za 4-ty kwartał III-go roku wydawniczego t. j. za okres od 1 stycznia 1935 r. Konto P.K.O. 153.210. Administracja: Warszawa, Chmielna 68 m. 37.

JERZY BRAUN

IN PRINCIPIO ERAT VERBUM...

I. A za pierwszą kurtyną morze.
Zielony półmrok fosforem bryzga syczącym.
Ryby, jak łodzie wyłaniają się i giną.
Grzmi nostalgiczny chaos, jak gong rozjękiem pijany.
Nurkując, trzeba płynąć, mdlejąc pod słonym ciężarem.
Niezgruntowana głąb. Siność.

II. A za drugą kurtyną ląd.
Ziemia wyprażona jak skóra,
którą porzucił, wyszedłszy z wód, jaszczur, smok tryasowy.
Iść trzeba, krok rymując z oddechem, jak piec zgrzanym.
A w ciemię żółty blask miljardy iskier wbija.
Niby płaska ta dal, lecz krągła jak kula głowy.

III. Świst zwija rulon kurtyny jak wiatr.
Za tą trzecią jest góra stroma
okręcona napowietrznym gzymsem, jak siedmiokrotną sprężyną.
A po gzymsie gdy pniesz się ostrożny
lada kamyk zmyli twą stopę i zawrotem przepastnym obłąka.
Zanimeś zmógł ten dziw, zdaje ci się, że wiek przeminął.

IV. Łuk spadającej gwiazdy czwartą kurtynę rozdziera.
Ze szczytu piramidy spokojnie się we wieczność spogląda.
Zapłątanyś w konstelacje gwiazd, niby pająk w srebro rozsnowy.
Oto gniazdo ptaków niebieskich, skąd się skrzydłem na lot odbija
i w niewidzialny zenit nieomylnie się wprost podąża,
aż powita krwawo wzeszłe słońce ten drapieżny orzyk orłowy.

V. Ból zrywa bielmo z oczu, niby piątą purpurową kurtynę.
Za sekundę olśniętej dumy zwierzęcym płaczesz wstydem.
Kolując jak strącony samolot leci w dół skrzydlak ociemniały.
Ziemia, niebo, morze i ląd, jedna smuga wściekłej karuzeli.
Aż ugrzęzły w genezyjski ił odbudujesz dzieło stracone.
Dojdziesz, dojdziesz po piętrach na szczyt, ty, sam sobie schodami i skałą.

VI. Gdy trąb mosiądz kurtynę szóstą
jak iluzję w obłok rozmiecie,
zawiruje kłąb w pianach cały.
Będzie tylko człowiek i kula,
nowa gwiazda: ziemia morzem grająca.
Blady kryształ, anioł zmartwychwstały.

VII. I rozkaże anioł tej siódmej, haftowanej w tęcze i gołębie:
Odsłoń mi łańcuch ów, w ostateczne sprzężony ogniwo.
A to będzie złoty dom, a to będzie tron sądu i chwały.
W szmaragdowem otoczu zórz groźna świętość: marmurowe czoło.
Jaki był na początku, taki wstanie w dziele spełnionem.
Wczoraj wszczęty, jutro Doskonały.

* * *

Teraz muzyka. Świergoce nuta, jak słowik.
Na jeden potoczysty tryler cały świat się drżąc nawleka.
Niby przeszyte serce ból się rozpęka w słodycz.
W wiolinowy, kolendowy interwał bas wdmuchuje swój ton wichrowy.
Wiruje srebrny kryształ jak bąk rozbawionej Dzieciny,
aż się znagła przetęczył w banię czarodziejskiej, archanielskiej kuli.

Buchnął muzyczny rozkołys. Ton solowy kulę potrąca.
Rozpryśnięta w dziesięć globów wypełniła osłupiałą przestrzeń.
Toczą się rozśpiewane harmonje po eliptycznych orbitach,
rozpromienia się centr, już się światłością rozmodlił,
na ruladach mistrzowskich pasaży wyfruwają ponowne kręgi,
już ich tysiąc w próżni rozbłysło, już wyższego spragnione ładu:
z tanecznej plątaniny w jedną się zestroić figurę.

Jak przed milczącą kurtyną wprzód instrumentów wrzawa
w jeden zgiełkliwy dyssonans zlewa ocean tonów
jątrząc nerwy słuchacza obietnicą bliskich upojeń —
tak każdy krąg słoneczny na strój własny napina strunę,
i z gwizdem wysyła w zwiady komet swych hyperbole,
aż wytryśle z tysiąca kręgów o punkt jeden zahaczą w przestrzeni
i nowy kosmiczny węzeł hymnem swoje wygłosi wesele.

Czy to ławice wód z otchłani wytaczają swe zwoje?
czy to mgławice gwiazd święty wszczęły pęd dośrodkowy?
Jak tłum rozmodlonych pątników, gdy na górę kościelną się wspina,
miljon łkających gardeł w organowy zespala unison,
tak tu bezlik kulistych gromad w jedno mleczne zlewisko się sprzęga
i jaśniejącą procesją po Drodze wieczystej krąży.

Pieśń oktawami wzbiera.Rytm perjodami nawraca.
Dolna Alfa w górną Omegę harmonijnie jak wiola nabrzmiewa.
Im wyższy muzyki centr, tem się mocniej związują nuty,
tem potężniej akordy grają, tem śpiewniej prowadzi wiolin
i coraz częściej wybucha ten boski sopran chwały,
od którego wstrząsa się otchłań dreszczem rozkoszy najświętszej
i rozmdlewa się ból i jako rodząca boleje.

Wzlatują skrzydlate trjady wysłochane z fletni pastuszej
i kołują w zachwycie nad chromatycznym odmętem.
Zdławiony spadek nut, liryczne przesłanki podziwu.
Któż to jest ta Postać niewieścia utkana z gwiazd i melodyj?
Skądże się bierze ten cud uczłowieczonych mgławic?
Z biljona mlecznych dróg jak z pian się Panna wyłania
i każdy krąg jak psalm na jej płaszczu zastyga w djament.

* * *

Jak ślepiec, co z muszli ucha chce wyłowić zmysł swój drugi,
aż błyskawica olśnienia wzrok mu na cudo otwiera
i patrzy mrużąc oczy na nieznanych barw rozlewisko,
a próżno chce wyjąkać, że czerwień, że zieleń, że szafir...
tak anioł wirującej planety przetarłszy zbudzoną powiekę
oszołomionem okiem w kolorową nowość spogląda.
Myśli, że śni na jawie, ale już go piękność urzekła
i tęskny, jak satelita, wokół słońca swojego krąży.

Najpierw światłość jarząca, jak lampa ćmom zapalona
biały swój trzon w drżące rozwachlarza tęcze,
lecz gdy już przyglągnął wzrok do tej złocistej głowni,
anioł rozpoznał tron, malowany, dziergany z promieni.
Siedm stopni: pierwszy z rubinu, drugi topaz, ametyst trzeci,
czwarty szmaragd, a piąty szafir, szósty opal, siódmy z jaspisu.
Na stolicy Mąż cały w bieli, twarz z marmuru, kędziory złote,
wokół męża srebrne cheruby nieruchomem półkolem stoją.

Krzyczy anioł w przepaść jak grzmot, aż mu niebo odzewem pęka.
Zewsząd lękiem, zachwytem, gniewem nawołują anioły inne
Wtargnął cud malowany w muzyczne empireum planet.
Jak gdy na płaskie płótno malarz pendzlem farby swe rzucił
rwą się zręcone ptaki złoty owoc łakomie dziobać,
tak rozlatują anioły z wyciągniętemi ramiony
naoślep w światło nowe i z jękiem chwytają próżnię.
I znów dalej popłyną i znów im umyka widziadło
z samych promieni i barw w napowietrzny miraż zgęszczone.

Więc gdy przejrzały złudę, co ich do biegu rozpędza,
że w każdym kręgu tażsama wzrok im zjawiskiem urzeka,
wolę swoją zespolą, zestrojone tęsknotą świętą,
aż hen, w górze nad niemi, jeden błyśnie tron witrażowy
miłośnie w swój świat wpatrzony marmurową twarzą Człowieka.
Wtedy jak tysiąc strzał wypuszczonych z tysiąca łuków
rzucą się rozkochane w obraz Pana, słodki i żywy.
I przeszyją puste powietrze i— jak stado błędnych żórawi—
przerażone smutną omyłką, w malowniczy nieład rozpierzchną,
póki wyżej nie spojrzą i znów w cel swój nie wzlecą z cięciwy.

Jak ornament lub fryz tęczowy, ten sam motyw raz wraz powtarza,
niby boska rozrzutność co w nieskończoność się trwoni,
tak tu tysiączne trony drżący obraz jak echo niosą.
Im krąg wyższy, tem świetniej barwi się rajski przepych
aż bezmiar w witraż się spiętrza, co jak pożar szybami płonie.

A przez wszystek labirynt kręgów, tych szkieł pustych, magją malowanych,
poprzez każde złote ogniwo wciąż ta sama twarz marmurowa,
jak z chusty Weroniki z każdej Drogi Mlecznej spogląda,
jakby mówiła słodko: Przyjacielu pójdź za mną!
wiecznie tym samym wygłosem niewysłowionego słowa.

* * *

1. A ja widziałem cud wielki:
Oto z nieprzybliżalnej dali pędziło ku mnie koło o czterech ognistych szprychach, a koło było w otoczu sinej mgły, a poprzez koło przelatywały raz po raz spadziste, zielonkawe błyskawice.

2. A ja wiedziałem, że to było: Stań się! I mówiło do siebie tak: Ty, który jesteś i ty, który powinieneś, powiadam tobie: Stań się! A gdy rozkazało: Stań się! wtedy stawał się cud.

3. I odezwał się głos wyraźny, patetycznie spiżowy i recytował wersety w języku, któregom nie znał. I wezbrał niby szum nadciągającej burzy, a był to bełkot wielu mówiących. Buchnęły gardłowe okrzyki, a potem łkanie spadało w dół, aż w czeluść lamentacji pogrzebnej. Wtedy zionął śmiech, jakby z rozpękłej skrzyni wysypał się bezlik elastycznych kul szklanych. Ktoś opowiadał monotonją nawrotów gawędowych, ktoś inny nawoływał retorycznie, a w tamtym znów wygłosie rozbrzmiał tragiczny przydech. Szczękał rytm pochodowy i szły pospieszne rzesze, a potem stukot pięt sygnalizował zawiłe taneczne korowody. Śpiewały chóry, raz wraz wpadając w bohaterski duet czołowych postaci. To wszystko wydobywało się jakby z poza koła.

4. Aż grom wbił w oś koliska pochyły gwóźdź żółtej błyskawicy.

Wówczas koło zafurkotało tak szybko,
że wzrok mój nie mógł za niem nadążyć.
Widziałem, że się z prawa na lewo przetacza
a wciąż wokół osi krąży.

Teraz już tylko elektryczna kula
zwelniona wodą niby pod deszczem nawalnym,
z gwizdem przerzynała noc swoim rozpędem globowym.
Z jej spłaszczonych biegunów trysło światło zodjakalne.

Wtem płonąć poczęła otchłań. Muzyka grała uwerturę.
Światło z ciemnością skłócone w apolińską urosło pochodnię.
Jakaś ręka sypała gwiazdy, mistrzowskie układając figury.
Jakiż to pendzel malował kulę w różnokształtne wzory i desenie?

Widzę tło szmaragdowe, jeziora w lazur gładzone,
surową czerwień granitów, drzew zieleń, geometrję kwiatów,
ptasie tęczowane pióra, przez wiatr skaczące jelenie,
ryby różane jak zorza, pawie ogony:
fantasmagorja światów.

5. I stał się nowy cud: Twórca wszedł w dzieło.
Na szczycie, w zenicie nieba milcząc przystanął.
A gdy tak w górze trwał widziałem,
z dołu ku sobie szedł miljonem swoich własnych postaci.

I gdy mówił swe słowo: sąd ostateczny dzieła,
wracało ku niemu echem tysiącznych, natchnionych języków.
Miljard ożywionych figur role w siebie na wieki wchłonęło,
patos kosmicznego cierpienia jak dzwon wybrzmiewał z ich krzyku.

Że samotny był pośród gwiazd, więc liryczne składali wiersze,
że walczył, uderzali w bronz grzmiących, homeryckich rapsodów,
skandowała rycerska ballada, cała w zbroi jak złoty szerszeń
i epos falował burzliwie rzekami pracujących narodów.

Mowcy bili sercami w gong pustych, retorycznych fraz,
na rysunkach i w domach miast pospiesznie bełkotała proza
potokami narracji płynąc, wybuchając w alarm trwogi.
Nieodwracalny los dławił tragicznie, jak spazm,
z rytmicznych pomp funebralnych wiała zgroza,
a oratorjum jak grzmot w kościołach huczało Bogiem.

I gdy on piętrzył dramat, herosy szły walczyc i ginąć,
gdy On heksametr tworzył, tysiąc ludów ruszyło mrowiem,
a gdy psalmem się palił, prorocy powstawali ogniści.
Wodze zwoływali rzesze, pielgrzymy szły ku gontynom,
miłosny poszept kobiet ciągnął romantyczną opowieść,
a lapidarne wersety spisywali ewangeliści.

Czas ludami nabrzmiewał, pod tron boży anioły się zbiegły,
poprzez siedem spuszczonych kurtyn dosięgnąć chcą to Jedno,
mnóstwem ożywionych słów jęcząc stolicę obległy,
wrąc się jak ćmy ociemniałe w białe, świetliste bezdno.

6. I widziałem, jak Ten nad światami,
wszechwybawca chorych Synów Bożych
ostatnią od tonących, białą oddzielony kurtyną,
drgnął i nad planet męką zapłakał krwawemi łzami
i zapragnął wejść pomiędzy nie, aby Słowo ujrzeli Ciałem,
aby im prawdą drogę w żywot wieczysty otworzyć.
I zaniemówił. I zbladł. Stał się Dzieciną.
Wtedy przejrzałem.

Bo był to jego krzyż, te cztery szprychy w kole.
Na tym krzyżu rozpiął się sam, już tam w niebie.
Zanim jeszcze zjawion na padole,
zanim złożon w kamiennej kolebie.

* * *

Ej kolenda, kolenda, ej ty anielskie granie.
Spraw niech się śmieje Dziecina, niechże płakać przestanie.

Ej żłobie ty kamienny, ej ziemio ty jałowa.
A czyż się ta Dziecina na twych cierniach uchowa?

Ej gwiazdo ty szumiąca w ciemni nad obłokami.
Czyli pojmą cię ludzie, że ty znaczysz: Bóg z nami?

Ej anioły wy białe w cud największy wpatrzone
obronicież go mieczami, jak tamte ponad tronem?

Jest izba czworograniasta, z dachem złotosłomianym.
Na czarnych falach nocy jak arka maleńka płynie.
Dach w cztery szpary rozcięty, jak cztery szprychy koła.
Mży zewsząd harmonijne niewidzialnych fletni granie.
Gorze w zenicie gwiazda, poświecić chce Dziecinie.
W najwyższych tonu rejestrach wibruje sopran anioła.

Przez cztery szpary w dachu blask gwiazdy krzyżem się wciska.
W przecięciu czterech ramion lśni żłób ukrzyżowany:
w nim to jedyne Słowo, co się wysłowić nie może.
Modli się Panna gwiezdna schylona nad kołyską.
Anioły cztery pendzlem iluminują ściany:
Na przedłużeniach krzyża wieczna historja Boża.

Na pierwszej ścianie izba, w której Dziecina się rodzi,
na drugiej ścianie góra, krzyżowa wzniosłość męki,
na trzeciej ścianie cud, słoneczne zmartwychwstanie,
na czwartej ścianie sąd nad swemi planetami.
A na pułapie twarz, jak zorza co ledwie wschodzi,
barwami, konturami z pod drżącej wyszła ręki,
twarz człowiecza a boża, słodka jak wielkie kochanie,
w swój własny zjaw spogląda ogromnemi oczyma .

Wtem dach pęka, jak owoc dostały,
ściany się z szumem rozpadły,
Słowo się obnażone wymawia w kraśnej pełni.
Światłość wiecznie żyjąca lśni kaskadami chwały,
wokrąg słupy wojsk anielskich adorują żywe widziadło.
Wszechświat wirujących gwiazd, ocean złotej wełny.

Na słupach anielskich wojsk kopuła najwyższych niebios.
Wracają wiry Dróg Mlecznych, ale już Pan ich poznany.
Na wysokościach tron: triumf ofiarą wszczęty.
W dymach wonnych kadzielnic mgławice się kolebią.
Lecą w chaos zpowrotem, w kłąb zwinięte szatany.
A biljon planetarnych mocarzy śpiewa mu: Święty, Święty!

Każda gwiazda: Syn Boży, każdy jej anioł—Zbawiciel.
Ze straszliwego: Stań się! Słowo kulami wylata,
a kule duch zaludnia epopeją krwawiących dziejów.
Tak się mnożący w dziele, sam w sobie trwa na szczycie
Mąż z Panny urodzony, boży stwórca wszechświata,
z siebie poczęty Koniec w najprzedziwniejszem Betlehem.

Cud rozgłaszam fanfarą tych wierszy:
Bóg sam sobie dał swe poczęcie,
W ostatecznem staje się pierwszy.
Ziemi daje to wniebowzięcie.

Poza światem wciąż doskonały,
wewnątrz świata kształt swój rozwija.
Oto Słowo stało się Ciałem.
Jezus Maryja.

Okruchy

1. Dziwne są te stereotypowe kryterja, jakiemi nasza krytyka literacka mierzy talenty. Oto np. rasowym pisarzem jest ten, który umie malować „żywych ludzi, grających namiętnościami w ich pierwotnej, bezpośredniej żywiołowości", a nie „papierowe figurynki". Tak jakby tylko człowiek „targany namiętnościami" był człowiekiem prawdziwym. Cóż to za cenzura typów?! Protestuję przeciwko tej poniżającej klasyfikacji. Pełny, prawdziwy człowiek to ten, którego myśl i wola panuje całkowicie nad afektami. Ślepe odruchy uczuć znamionują przedewszystkiem zwierzę, zaś splot człowieka ze zwierzęciem daje nam typ człowieczeństwa niepełny i nieprawdziwy.

2. Manja „komplikowania" kulminująca w t. zw. perwersji artystycznej świadczy, wbrew snobistycznemu mniemaniu, o ubóstwie środków wypowiedzi, a nie o ich bogactwie. Jest ona wynikiem niezdolności ujęcia w formę estetyczną stanów prostych, harmonijnych, syntetycznych, w których nasze „ja" czyste przejawia się najbezpośredniej. Genjusz jakże często wydaje nam się naiwnym. Dlaczego? Bo żyje w świetle doskonałej samowiedzy, jest osobowością wewnętrznie uporządkowaną, władającą swem własnem „ja" i jego narzędziami twórczemi. Komplikujemy, aby zabudować pustkę swej duszy, stworzyć pozory mnogości i różnorodności świata swych przeżyć. Pełnia nie potrzebuje komplikacyj, perwersyj, rafinowanych sprzeczności i przeskoków, przeciwnie, dąży ona do ujmowania się w czystej, zamkniętej jedni, ta bowiem jest największą ze wszystkich tajemnic. Niespodzianki i „głębie" natur uczuciowych polegają na biernej reaktywności, t. j. wrażliwości na bodźce i impulsy zewnętrzne, które warunkują i determinują ich wewnętrzne stany psychiczne. Powstaje stąd potok metamorfoz nie poddanych żadnemu prawu. Niewątpliwie, pożądanem jest dla twórcy, by jego „spontaniczny strumień świadomości" był jaknajbogatszy; jednakże samo notowanie tych doznań zmysłowych i emocjonalnych (różniących się zapewne tylko zróżniczkowaniem i stopniem nasilenia od analogicznych momentów psychiki zwierzęcej), nie jest jeszcze sztuką, choćby następstwo i gatunek ich były najbardziej skomplikowane. Dopiero interpretacja ich i świadome posługiwanie się niemi jako tworzywem, pod kątem zgóry obranego celu, podnosi je do godności *jednego z elementów dzieła*.

3. Czytałem niedawno fragmenty z powieści Promińskiego, drukowane w lwowskich „Sygnałach". Proust był indywidualnością nieprzeciętną i metody jego były dla wielu pisarzy dobrą szkołą usystematyzowanej autoanalizy. Proust zwrócił uwagę twórców na ów wewnętrzny potok świadomości (to co K. Troczyński zwie „strumieniem hyleicznym"), przez co dostarczył im metody owładnięcia substratem żywiołowym własnego „ja", jako jednym z elementów twórczości estetycznej. I oto stała się rzecz notoryczna w historji nauki i sztuki. Szczegół wzięto za ogólnik, powszechnik, zasadę. Wielu pisarzy uczepiło się proust'yzmu i zamiast użyć jego metod jako jednego ze środków swego artyzmu, uczyniło zeń środek (i cel) jedyny. Skutki fatalne. Taki np. Promiński — a nie jest on w tem w Polsce odosobniony — wyobraża sobie, że spisywanie swych doznań infrapsychicznych, fotografowanie ślepo płynących fal strumienia świadomości „puszczonej wolno", nie poddanej kontroli podmiotu twórczego, wolno mu uważać za sztukę pisarską. Odwijać bezwładny kłąb swej zawartości psychicznej, całe to galaretowate wężowisko oglądów zmysłowych, przypomnień, wyobrażeń, ruchów fantazji, reakcyj na procesy odbywające się wewnątrz naszego organizmu, — może to być ciekawe widowisko dla psychologa, zajmującego się introspekcją. Twórczość artystyczna natomiast jest *konstruowaniem*, t. j. czynnością dla której tamto wszystko ma wartość tylko w funkcji tworzywa.

4. Wielu zaprzecza, jakoby sam proces konstrukcyjny był już sztuką. Polega to na nieporozumieniu i to zarówno ze strony przeciwników „konstrukcji" jak i jej zwolenników. Pierwsi, mówiąc o konstruowaniu, mają na myśli jałowe zestawianie dla samej tylko gry intelektualnej, owo kombinatorstwo (którem n. b. grzeszy peiperyzm), podobne zaiste do łamigłówek klockowych, a mające już swego Sancho-Pancha w postaci tak charakterystycznych dla dzisiejszej epoki foto- i faktomontaży. Ci nie dostrzegają głębszego motywu konstrukcji artystycznej, którym jest owa tak dawno odkryta przez teoretyków sztuki idea *jedności w wielości*, tkwiąca u podstawy popędu twórczego. Drudzy, uważają konstrukcję za najwyższą rację bytu dzieła sztuki, za kanon estetyczny, wystarczający sam sobie. Ci znowuż wzbraniają się sięgnąć wyżej, w sferę intymnej problematyki podmiotu, który tworzy. Nie widzą oni, że jedność w wielości to jedynie stały schemat formalny, pod jakim daje się oglądać artyzm jako zjawisko nadprzyrodzone, jako funkcja specyficzna czystej jaźni, tak rzadko dającej znać o sobie z poza przesłon intelektualnych, emocjonalnych, zmysłowo-wrażeniowych. Można tedy rzec, że tworzenie jest *conajmniej konstruowaniem*, a prócz tego czemś więcej jeszcze. Źle jest jednak, gdy pisarze i artyści nie umieją się dociągnąć nawet do sfery tego „conajmniej", poprzestając na notowaniu nieciekawych rewolucyj bebechowych (vide np. Rudnicki w „Szczurach"), lub na kombinatorstwie formalnem, rozbijającem dzieło na kupę niepowiązanych łamigłówek. Nie chcę tu kwestjonować pewnych zdobyczy awangardy (bardzo zresztą przechwalonych), faktem jest jednak, że wśród utworów poetów tego odłamu nieznaczny tylko odsetek zdolny jest dać czytelnikowi odczucie „jedności w wielości". Przyczynę widzę w tem, że przeważają u nich skłonności analityczne. Główny nacisk kładzie się na moment poszczególny utworu, na metaforę, na składnię pojedyńczego zdania, nie zwracając uwagi na współbieżność elementów wiersza, na zespół i równowagę wzajemną pomiędzy zdaniami, na akord harmonijny wszystkich metafor i figur artystycznych, dobieranych pod kątem jednej idei, jednego naczelnego wyobrażenia. Wiersz bez dominanty rozkłada się, jak trup, przyczem nie pozostaje nawet to co powinno być najtrwalsze: szkielet.

5. Szereg pisarzy — poetów w pierwszym rzędzie — boi się dziś jak ognia tematu i idei w utworze. Rozróżniam temat i ideję, pierwszy bowiem jest czemś konkretnie danem, pomysłem, „fabułą", stanem uczuciowym, wogóle t. zw. „treścią", kulminującą zazwyczaj w poincie, idea natomiast jest abstrakcyjną jednią, unoszącą się poza i ponad miąższem i strukturą danego utworu, przeświecając tylko przezeń, gdyż jako jednia myślna, idea nie da się nigdy wyrazić in concreto. Otóż obawy te uważam za bezpłodne, o ile tylko twórca umie znaleźć właściwy stosunek do tych dwu kategoryj estetycznych. Temat spotykamy i w muzyce, tej sztuce tak wyzutej z uchwytnych „treści". Temat i jego warjacje są też niezbędnemi współczynnikami wiersza. A co do idei, to przecież nie idzie tu o nadanie jakiej obcej celowości utworowi (propaganda, dydaktyzm, uspołecznianie, umoralnianie i t. d.), lecz o dotarcie poprzez szczeble „idej", czyli jedni pośrednich do bezpośredniej jedni czystego „ja" samego twórcy. Każda idea utworu, naprawdę przeżyta, jest nie czem innem jak prowizorycznem samookreśleniem się nagiej, bezokreślnej jaźni, która chce się w ten sposób objawić wewnętrznie, a następnie upostaciować zewnętrznie poprzez przystającą do niej formę artystyczną. W sztuce idea ma znaczenie tylko w odniesieniu do tego nadrzędnego, wieczyście aktualnego problemu, jakim jest dla każdego rasowego twórcy *on sam*, w swej istocie metafizycznej, odartej z powłok przypadkowości i z etykiet, jakie doń przylgnęły podczas jego „życiowej wędrówki".

Edpor.

Beznadziejne porachunki

z niepowrotnej przeszłości

I Wstęp do krytyki „Walki o treść" — Karola Irzykowskiego..

Nie byłem nigdy jeszcze zadowolony z żadnej krytyki moich prac czy to malarskich, czy scenicznych i to niezależnie od tego czy krytyki te były pochlebne czy ganiące. Polegało to na tem, że nie spotkałem się dotąd z krytyką, któraby była w mojem znaczeniu artystyczną, t. j. dotyczyła bezpośrednio formalnej strony rozważanego utworu. Starałem się podać szkic do systemu pojęć dla krytyki formalnej w teatrze, w książce p. t. „Teatr" i nie będę się tu nad tą kwestją rozwodził. Wolałbym najsroższe jechanie mnie z punktu widzenia przybliżonego choćby do mojego, niż najsłodsze nawet „życiowe" pochwały, do których też nie jestem zresztą przyzwyczajony. W sposób pierwszy odnosi się do mnie paru przyjaciół, których zdanie niezmiernie cenię i żałuję tylko, że nie są oni właśnie krytykami teatralnymi. Muszę wspomnieć tu n. p. dr. Marcelego Staroniewicza, byłego „dyrektora" i reżysera naszego byłego amatorskiego teatrzyku w Zakopanem, który to teatrzyk przez brak artystycznego nastawienia pewnej grupy członków i osobiste nieporozumienia został, niestety, definitywnie pogrzebany. Piszę to dlatego, że istnieje opinja, jakobym zagrzebany w Zakopanem poddawał się okadzaniu przez ludzi nic nierozumiejących, których bezczelnie nabieram. Rozpuszcza takie wieści kupa złośliwych durniów, przeciwdziałając w ten sposób zrozumieniu moich idei przez niezbyt rozgarniętą publiczność.

Ponieważ sam noszę się jeszcze z zamiarem spróbowania kiedyś na starość krytyki teatralnej (a może i literackiej) z mojego punktu widzenia istotnej, opartej na określonym systemie pojęć (w przeciwieństwie do galaretowych, niejasnych mgławic umysłowych naszych krytyków) sytuacja może stać się dla mnie kiedyś trudna. Jednak jeśliby mi to się nawet nie udało, nie będzie to ostatecznym dowodem, że moje ideje są nie do urzeczywistnienia. Co innego jest dany system teoretyczny stworzyć, a co innego rozwinąć go i w praktyce zastosować. — Co innego jest fizyk-teoretyk, co innego technik, zastosowujący wyniki danej teorji. Druga trudność polegałaby na zastosowaniu tych zasad etycznych, których brak zarzucam większej części naszych krytyków. Ale myślę, że to są rzeczy do pokonania: dobra wola, dążenie do prawdy, przyznawanie się do popełnionych błędów, brak fałszywej ambicji — oto warunki. Oczywiście, robiąc zarzuty ogólnikowe przesadzam wszystko w kolorze — podaję typy zjawisk w ich najjaskrawszej postaci — niejako wypadki graniczne.

Ponieważ krytycy nasi nie mają tak określonych systemów, żeby można dyskutować z ich ogólnemi ideami, nie będę trzymał się porządku osób, tylko zgrupuję odpowiedzi według omawianych sztuk. Zacznę nie od „Wścieklicy", tylko od „Warjata" i „Nowego Wyzwolenia", ponieważ nieporozumienia są tu istotniejsze i więcej dają materjału do dyskusji.

Jest przyjęte w pewnych sferach uważać mnie za megalomana, t. j. człowieka mającego wygórowane pojęcie o sobie samym. Uważam to za niesłuszne. Mam bardzo wiele krytycyzmu w stosunku do siebie i gdyby nie problem czysto ideowy i kwestja metodologji krytyków, nie zabierałbym z pewnością głosu w sprawie moich utworów. Zresztą granie moich sztuk należy właśnie do niepowrotnej przeszłości i sądzę, że ostatni raz już o tem mówię.

Sądy o danym utworze mogą dotyczyć jego *jakości i wielkości*, podobnie jak, w trochę innem znaczeniu, sądy o pojedyńczej plamie barwnej. Otóż, pomijając zupełnie kwestję wielkości, tę wartość dzieł, która jakimś cudem ostaje się w historji i która zależy od całego splotu różnorodnych czynników, twierdzę tylko jedno, że w przeciwieństwie do twórczości naturalistycznej — która również w swoim zakresie może być wielka i mała, licha, lub doskonała — moje sztuki posiadają jakość artystyczną, t. j. przewagę elementu artystycznego nad życiowym.

Jakość ta może występować w różnych natężeniach — mogą być rzeczy artystycznie liche, lub doskonałe — to jest rzecz zupełnie inna. Określenie subjektywne, doraźne, (często zresztą w praktyce na dalszy dystans mylne), wielkości danej rzeczy — od zera do praktycznej nieskończoności — należałoby właśnie do krytyki, na podstawie analizy czysto konstrukcyjnych właściwości danego dzieła, przyczem wartości dynamiczne jakościowych elementów, wypełniających części konstrukcji, musiałyby być oczywiście brane również pod uwagę, a nie tylko stosunki czasowo-przestrzenne. Jak się mówi słowo konstrukcja ludzie widzą przeważnie jakieś rusztowanie w przestrzeni, lub graficzne przedstawienie dowolnego przebiegu w czasie. Do konstrukcji należy cała sprawa napięć kierunkowych i dynamicznych, związana ściśle z jakościami: barwami, dźwiękami i *znaczeniami* słów i działań. Krytyka nie zajmuje się temi problemami, ponieważ o nich nic nie wie, a także niema odpowiedniego materjału dla odpowiednich badań, ponieważ nowa teatralna, artystyczna literatura u nas prawie-że nie istnieje, a na temat dzieł dawnych są już wyrobione „szlagworty", od których odstąpić jest niebezpiecznie. Przeciętny krytyk nie rozważa konstrukcji samej w sobie, działającej ze sceny *bezpośrednio*, podobnie do czystej konstrukcji dźwiękowej, działającej czysto-muzycznie poza wszelkiemi uczuciami życiowemi, które sugestjonować może — on rozpatruje ją, tylko jako środek, służący do skondensowanego podania życia na scenie, według od wieków odziedziczonych konstrukcyjnych szablonów, które są jeszcze jedynem kryterjum formalnem mimo, że w naszych czasach, na samym początku końca sztuki, szablony te definitywnie się już przeżyły. Tego dowodzi wszędzie t. zw. „nowa sztuka", której wspólnego wyrazu nikt zdaje się, przynajmniej u nas, nie ujął w jednolity sposób.

Nie będę walczył tu o wartości ilościowe moich sztuk — począwszy od ilości pieniędzy w kasie (o co zawsze chodzi p. Grubińskiemu, gdy nie może już wytrzymać i musi wspomnieć moje nazwisko), aż do kwestji „wielkości" w znaczeniu najwyższem. Będę starał się wykazać fałszywy, według mnie, punkt widzenia na nie i chęć ich dewaluacji z powodu nieodpowiedniego nastawienia wewnętrznego — programowego lub mimowolnego. Mimo zupełnego, według mnie, braku u mnie megalomanji, muszę jednak stwierdzić, że jest coś nowego w moich sztukach (jakościowo innego, niezależnie od problemu wielkości), że są one pisane bezpośrednio i nieprogramowo, w imię tej wiary, że teatr jednak może być Sztuką, a nie tylko odbiciem życia i wyrazem poglądów autorów. Te rzeczy dla artysty są środkiem, a nie celem. Przeważna część ludzi, u nas przynajmniej, myśli inaczej. Nie dowodzi to jednak, że ja nie mam racji. Co zaś do tego, co to jest Sztuka i „ta Czysta Forma", jak pisał kiedyś ironicznie prof. Sinko, to wypowiedziałem się chyba należycie w innych moich książkach. Nie przeprowadzam tu żadnego różniczkowego wartościowania między sztuką, a nie sztuką, — może realistyczna twórczość mieć swoje znaczenie zabawowe, propagandowe — djabli wiedzą jakie. Niech sobie ma, jeśli jej ludzie potrzebują — mnie chodzi tylko o to aby nie mięszać rzeczy nie mających ze sobą nic wspólnego w jeden salceson, skąd płyną potem beznadziejne nieporozumienia (które, jak zawsze twierdzę, rzeczowa dyskusja wyjaśniłaby bez zreszty) i katrupienie sztuki przez krytykę, mającą teoretycznie wprost przeciwne zadania.

Pozatem, mimo, że będę starał się nie wykroczyć poza moje zasady, ton odpowiedzi zależy też od metody walki strony przeciwnej. Bezecne w swej głupocie napaści pominę zupełnem milczeniem. Cała rzecz, aby nie dać się obniżyć w polemice niegodnemi środkami, użytemi przez przeciwnika. Jednak w pewnych wypadkach, nie znajdując innego sposobu wytłomaczenia stanu rzeczy, będę musiał oświetlić psychologję oponentów w sposób nieco niekorzystny. Jednak zdaje się, że według osób będzie wygodniej. Wogóle mało czysto-ideowego oporu wykazują moi wrogowie.

Karol Irzykowski stwierdził dawno, nie pamiętam w jakim artykule, że jestem u nas jedynym kimś, poszukującym rozwiązania problemu sztuki na swoistej drodze *i bronił mnie, zaznaczywszy, że jest moim przeciwnikiem* (!!!), przeciw gołosłownym napaściom Adolfa Nowaczyńskiego, czy też futurystów. Pomijając zasadniczo szlachetny stosunek Boya do jego wrogów (i do mnie między innymi, bo przecie jest moim zagorzałym teoretycznym przeciwnikiem) był to fakt jedyny w swoim rodzaju w historji krytyki polskiej. Bronić przeciw niegodnym metodom przeciwników kogoś będąc jego wrogiem! Co za cudowna rzecz! Jakże szybko znikł ten wzniosły miraż. Świetny pisarz ten (nie artysta), którego wspaniałą nie-artystyczną wysoce powieść p. t. „Pałuba" każdy z nas dziś ma niejako we krwi, zmienił się do niepoznania.*).

(c. d. n.). *S. J. Witkiewicz.*

*) Zarzut nie-artystyczności powieści nie jest istotnym z mojego punktu widzenia, ponieważ powieści nie uważam za dzieło sztuki. Może ona jednak być mniej, lub więcej artystyczna, jak sos może być słabszy, lub ostrzejszy, co nie ubliża sosowi.

O historycznym Wernyhorze

W „Przeglądzie Współczesnym" z października b. r. pan Witold Klinger ogłasza artykuł p. t. „Wernyhora i jego proroctwa w świetle krytyki historycznej".

Wyobrażałem sobie zawsze, że istnieje o Wernyhorze jakaś naukowa literatura, do której żałowałem, że dotrzeć nie mogłem. Z artykułu p. Klingera okazuje się, że taka literatura nie istnieje i że jego własne badania, na których się opiera ten artykuł, są prawdopodobnie pierwszym w tym kierunku wysiłkiem.

Dążąc do wyświetlenia historycznego podłoża legendy, autor przystąpił do analizy różnych tekstów proroctwa. Z artykułu wnosić można, że były to tylko następujące: a) tekst 12 grudnia 1830 ogłoszony w warszawskiej gazecie „Patryota" z przypiskami, których autorem jest według prof. Pigonia Lelewel (jest to ten sam tekst, który w r. 1841 w przypisach do „Trzech Wieszczb" bezimiennie reprodukuje Siemieński); b) rękopis w czasie wielkiej wojny przez prof. J. Siemiradzkiego odnaleziony w Kijowie (I. K. C. z 23 września 1932); c) początek rękopisu z Muzeum Czapskich, w przypiskach do Beniowskiego ogłoszony przez prof. Kleinera; d) ustęp z r. 1838 pochodzącej znanej powieści M. Czajkowskiego p. t. „Wernyhora" i e) z r. 1841 pochodzący list z Koblencji do I. Sobańskiego, ogłoszony przez p. Lewaka („Warszawianka", Nr. 84 z r. 1925). Jeśli uwzględnić, że ustęp rękopisu z Muz. Czapskich zajmuje się tylko początkiem karjery lirnika, ma się tu zaledwie cztery wersje proroctwa; konkluzje wynikające z ich porównania niemniej są interesujące:

1) Zarówno rękopis odnaleziony przez prof. Siemiradzkiego, jak opowiadanie Czajkowskiego i list z Koblencji, są tylko odmianami tekstu „Patryoty";

2) wypadki, przepowiedziane w tych wersjach — z wyjątkiem końcowych, jak klęska Rosji i odbudowanie Polski — zaszły istotnie w ostatniem trzydziestoleciu XVIII w. i w pierwszem trzydziesto — względnie czterdziestoleciu XIX w. a przedstawione są z taką ścisłością i dokładnością, że stanowią jakby skrót dziejów europejskich tych czasów i..., że jest to t. zw. *vaticinium ex eventu*, czyli: „na podstawie znanych autorowi faktów późniejszych oparte, lecz do czasów znacznie wcześniejszych przezeń odniesione, rzekome, fałszywe, podrobione proroctwo";

3) w pierwszych dwu wersjach r. 1830 wyraźnie oddziela rzeczowe informacje od fantazji, co także wyraźnie wskazuje, że sporządzono je w tym roku, a to w celu „szerzenia w społeczeństwie polskiem daleko sięgających nadziei w związku z rozpoczętą już akcją powstańczą";

4) kontynuują to „pobożne kłamstwo" dwie drugie wersje w ten sposób, że w kilka lat po stłumieniu listopadowego powstania, tekst tamten, „dla pokrzepienia serc", akomodują do późniejszych wypadków;

5) inspiratorem pierwszego tekstu a więc pośrednio tej całej roboty, był najprawdopodobniej Goszczyński, główny później na emigracji legendy o Wernyhorze kolporter a w Warszawie, już w pierwszych dniach powstania, współpracownik „Patryoty". Legenda o „poczciwym" Wernyhorze, o ile ją ilustrują te teksty, jest więc w r. 1830 powstałym fabrykatem polskim.

Czy wynika z tego, że i sama postać lirnika jest pozbawionem wszelkiej podstawy historycznej zmyśleniem? Bynajmniej, odpowiada p. Klinger. Zawiele przechowało się z przed r. 1830 pochodzących świadectw o jej rzeczywistem na Ukrainie za czasów Koliszczyzny istnieniu, by mimo całą ich mętność uważać ją można za fikcję. Słusznie też twierdzi autor, że „jeżeli działający za czasów powstania listopadowego fałszerz za wskazane uważał swe tendencyjne fantazje związać z imieniem Wernyhory, to uczynił to niewątpliwie dla przydania im znaczenia i powagi", przez oparcie ich o „postać dla niego realną, w pamięci ludzkiej jeszcze żywą i w roli wizjonera i proroka cieszącej się pewnym rozgłosem i wziętością". Szereg ech tej tradycji, w latach 1827/29 z opowieści bardzo starych ludzi spisanych — a także tekst jednej z dum proroczych Wernyhory, na okładce zachowany książki w r. 1787 w Poczajowie wydanej — ma się do zawdzięczenia etnografowi E. Izopolskiemu, który je w latach 1843/58 ogłosił w różnych pismach. Wyłaniać się już zdaje z tych opowieści trochę prawdziwej twarzy lirnika. Wernyhora, jak u Słowackiego, jest w nich „duchem hetmanów" — do tego stopnia, że za rzekomo jeszcze wtedy żyjącego Mazepę uchodzi — a Wernyhorą (po polsku Waligórą) zwie się dlatego, że „więcej chciał, niż mógł", dla Ukrainy. Według Izopolskiego, jego przepowiednie obracać się miały dokoła myśli, że Ukraińcy są narodem wybranym a potwierdzają to przypiski Lelewela, gdzie mowa, jak to w czasach wojny rosyjsko-tureckiej (1828/29) lud ukraiński, mimo zakazu władz rosyjskich, grobu swego proroka nawiedzać nie przestawał.

„Te ukraińskie proroctwa Wernyhory, pisze p. Klinger, posłużyły, zdaniem mojem, twórcy proroctw polskich nietylko za bodziec i podnietę, ale także za wzór do naśladowania. Na zależność tych nowych, apokryficznych przepowiedni od dawniejszych, autentycznych, niedwuznacznie wskazuje, jak mi się zdaje, ta okoliczność, że tak w jednych, jak i drugich jest mowa jedynie o walce z Rosją i zwycięskich z nią bitwach, jakie mają być stoczone na Ukrainie: jest to zrozumiałe z punktu widzenia przedstawiciela Ukrainy, która ujarzmiona została przez Rosję i ani z Austrją ani z Prusami porachunków żadnych nie miała, nie zaś ze stanowiska reprezentanta Polski, ktora podzielona została między trzy wymienione mocarstwa i ostateczne walki o niepodległość na własnem stoczyła terytorjum. Ta wyraźnie ukraińska orjentacja, która utrzymuje się nawet w polskiej redakcji proroctw Wernyhory stanowi — żeby użyć terminologji prof. T. Zielińskiego — tak zwany „motyw rudymentarny", to znaczy resztkę pomysłu pierwotnego, niezupełnie rozpuszczoną w koncepcji nowej, — co mówi o dość mechanicznem naśladowaniu". Istniał więc nietylko autentyczny Wernyhora, ale i autentyczne tego Wernyhory — ukraińskiego patrjoty — proroctwa, „później wyzyskane dla celów politycznych przez naśladowcę polskiego". Tyle p. Klinger. Dla stwierdzenia, że Słowacki, rewidując legendę, szedł w kierunku całej historycznej prawdy, jest to już wystarczające.

Co dadzą dalsze badania? Czy wykryją inne, od wersji „Patryoty" niezawisłe teksty proroctwa? Że wersje zebrane przez p. Klingera nie zawierają wszystkich znanych ongi w Polsce przepowiedni, to chyba będzie łatwo wykazać. Ani o wybuchu „wojny powszechnej z przyczyny małego kraiku", ani o „kogucie (galijskim) odmieniającym pierze", ani wreszcie o Turkach przekraczających Dunaj i konie (nie w Horyniu, ale) „we Wiśle" pojących, nie ma mowy w tych tekstach, choć o tych trzech przepowiedniach wielu z mych współcześników, podobnie jak ja, słyszało w dzieciństwie, co dowodzi, że w każdym razie nie zostały one sfabrykowane — w czasie wielkiej wojny. (Napotkałem je drukowane raz tylko, nie pamiętam w książce, czy artykule francuskim W. Gasztowta p. t. *La Pologne et l'Islam*; o pracy tej zanotowałem to tylko, że autor jako na źródło swych wiadomości o Wernyhorze powoływał się na Czajkowskiego i uderzyło mnie później, że w powieści „Wernyhora" wcale nie figurują te trzy proroctwa). Prawdopodobnem więc jest odnalezienie innych, p. Klingerowi nieznanych tekstów polskich a nie wykluczonem — w zasadzie przynajmniej i coby było o wiele ciekawsze — odnalezienie tekstów ukraińskich. Dzisiaj już jednakże — jak to robić zaczął p. Klinger — możliwe jest ustalenie niektórych momentów, które z autentycznych proroctw przeszły do wersji polskich. Tutaj, mojem zdaniem, należy przedewszystkiem proroctwo o zmartwychwstaniu Polski, wolno bowiem przypuszczać, że „działający za czasów powstania listopadowego fałszerz" nietylko dlatego popełnił swój apokryf, że postać Wernyhory znaną była z tradycji, ale i dlatego, że jej tradycja tę właśnie wśród innych przepowiednię przypisywała. Można to było w r. 1830 na swój sposób przyrządzić, ale bez narażenia się na śmieszność u licznych bliskich jeszcze tej tradycji kresowców wyssać sobie tego z palca nie było można. Istniał więc nietylko autentyczny Wernyhora, ale i autentyczna tego Wernyhory — ukraińskiego patrjoty — o zmartwychwstaniu Polski przepowiednia.

Utwierdza mnie w tem przekonaniu — Słowacki. Gdy się wie, co n. p. w Beniowskim stało się z podaniem o matkobójstwie, wie się także, że i w „dramie Wernyhory", z podania o proroctwie pozostać mogło to tylko, co poeta za bezwzględnej, choć niekoniecznie faktycznej, prawdzie odpowiadające uważał. Nie włożył też z pewnością autor Snu srebrnego proroctwa o naszem zmartwychwstaniu w usta ukraińskiego wieszcza dlatego, że je wyczytał w „Patryocie" lub że się o niem dowiedział od Goszczyńskiego, jak nie dlatego, że Goszczyński *ex re* Wernyhory o djabłach opowiadał, mielących z czarownic tabakę — dostrzegł w tym „przyjacielu Polaków" Szatana. Jego postawa wobec lirnika jest już wogóle bardzo podobną do tej, jaką wobec figur swoich dramatów zajmuje Wyspiański: składa się na nią: z jednej strony krytyczny stosunek do wszelkiej tradycji, z drugiej — pozostawienie postaci jej autonomicznego bytu, czyli to, co Wyspiański ma na myśli mówiąc, że postacie jego dramatów do niego „gadają" a o czem także myśli Goethe, gdy mówi: *Am Ende hangen wir doch ab von Kreaturen, die wir schaffen.* Wernyhora u Słowackiego żyje życiem własnem i sam się niejako wyzwala z kłamstwa legendy, ale tę legendę Słowacki równocześnie bada ze ścisłością nowoczesnego historyka, głównie zapewne z zapamiętaną z dzieciństwa *odmienną tradycją* ją porównując.

Jeśli krytyka historyczna choćby tylko od tej strony problem „Wernyhory Słowackiego" wyświetli, przyczyni się do wyjaśnienia zagadnienia, które krytyka historyczno-literacka dotąd tylko wyjaśniała — jego przemilczaniem. Ci, którzy wiedzą, czem jest teatr Wyspiańskiego, wiedzą, że i ten „motyw", żywcem ze Słowackiego przejęty, w przeszłości **jak w** przyszłości — ujmuje *całą historyczną prawdę*.

A. Ł. C.

Sprostowanie. W artykule moim p. t. „Wyspiański — przy kominku" — szpalta 4, wiersz 8 i 7 od dołu — czytać należy: Powrót Odysa pisze się od 29 do 31 grudnia 1904 (a nie: stycznia 1904).

Philosophica

Fryderyka Schlegla „Neue Philosophische Schriften" — dotąd niedrukowane, ukazały się w opracowaniu Józefa Körnera (G. Schulte-Bulmke, Frankfurt), którego przedmowa zawiera szkic rozwoju poglądów filozoficznych Schlegla. Książka składa się z następujących rozdziałów: F. Schlegels philosophische Lehrjahre; Schlegels Vorlesung über Transcendental-Philosophie; Skizze einer philosophischen Vorlesung für Madame de Stael; Die Jacobi-Rezensionen; Von der Schönheit in der Dichtung.

Pełne wydanie dzieł Leibniza, zapoczątkowane przed wojną wspólnie przez Akademję paryską i niemiecką, kontynuowane po wojnie przez Niemców (głównie przez prof. Rittera i dr. Schreckera), obecnie — po wyemigrowaniu prof. Schreckera z Niemiec, znajduje swą kontynuację ponownie w Paryżu. „Revue Philosophique" wydało tom, opracowany przez tego uczonego, noszący tytuł „Lettres et fragments inédits de Leibniz".

Czy Herzen był zwolennikiem Feuerbacha — studjum pod tym tytułem wydał Borys Jakowenko jako odbitkę z czeskiego pisma „Ruch Filosoficky". Tytuł: „Aus der Geschichte der russischen Philosophie. War Herzen ein Feuerbachianer?"

Plastyka i muzyka

Pobytem Wagnera w Szwajcarji, spowodowanym wydarzeniami natury politycznej zajmuje się Max Fehr w książce p. t. „Wagners Schweizer Zeit" (Lipsk). Książka nie jest specjalnie interesująca, lecz operuje dużym zbiorem dokumentów. Tom I-szy zawiera opis lat spędzonych w Zurichu.

Bardzo ciekawą książkę o starych tańcach meksykańskich wydali Norma Schwendener i Averil Tibbels. W książce tej są opisane szczegółowo historyczne tańce starego Meksyku. Do każdego tańca dodana jest autentyczna muzyka meksykańska, opis instrumentów i sposób ich używania. Wydawnictwo zdobią nader interesujące ilustracje, reprodukcje dzieł nieznanych artystów. Ilustracje te w sposób graficzny rysują symbolikę tych tańców i są równocześnie wzorami kostjumów. Praca ta posiada dużą wartość jako przyczynek do badań etnologicznych. (Tytuł: „Legends and Dances of Old Mexico" — A. S. Barnes — New-York).

Biografję Dürera wydał Eugen Ortner p. t. „Albrecht Dürer. Deutsche Sehnsucht — Deutsche Form" (Keil-Vlg. — Berlin). Ta doskonale i zajmująco napisana książka daje nam nietylko obraz życia Dürera, ale i ówczesnych dziejów Norymbergji. Wydawnictwo zdobi 65 starannie wykonanych reprodukcyj.

Zwięzłą historję muzyki opracował Alfred Einstein („Geschichte der Musik" — Leiden — Holandja): Dzieje rozwoju doprowadził autor aż do dzisiejszych czasów dając w syntetycznych skrótach opis środków i form muzycznych wszystkich czasów.

Książka niemiecka

Zbiorowe wydanie dzieł Theodora Lessinga ukaże się nakładem Henryka Mercy w Pradze. Redakcję objęła żona pisarza przy pomocy przyjaciół i uczonych. Całość ukaże się w 10-ciu dużych tomach. Tom I — Philosophie als Tat, Nietzsche, Dührings Hass, Studien zur Weltaxiomatik. Tom II — Naturtrilogie: Meine Blumen, Meine Tiere, Dämonen, Verfluchte Kultur, Ausserm Takt. Tom III — Aesthetische und pädagogische Schriften. Tom IV — Europa und Asien. Tom V — Geschichte als Sinngebung des Sinnlosen, Charakterologische Studien, Vorwort und Annerkennungen zu „Carus, Symbolik der menschlichen Gestalt". Dalsze tomy zawrą drobniejsze utwory naukowe i literackie, dramaty, twórczość młodzieńczą. W tomie X-ym zostanie opublikowana autobiografja Lessinga.

Życiorys przyjaciela Goethego, „wiernego Eckerta" Eckermanna ogłosił H. H. Hoube (P. Zsolnay — Wiedeń). Biografja ta, nazwana przez autora „historją życia człowieka skromnego" oparta jest na listach, zapiskach, pamiętnikach i maluje obraz człowieka w swej cichej skromności i uwielbieniu dla wielkości Goethego — nieprzeciętnego i pełnego prawdziwej wielkości.

Stare podania germańskie, o Wielandzie Gudrunie, Beowulfie, Walterze i Hildegundzie, o Nibelungach, Dietrichu von Bern i wiele innych, podaje w pięknej, nowoczesnej niemczyźnie, Leopold Weber w książce zatytułowanej: „Unsere Heldensagen" (R. Oldenbourg — Monachjum).

Studjum o Schillerze, p. t. „Schiller. Leben, Gedanken, Bildnisse" wydał (w Lipsku) Hans Brandenburg. Życiorys poety związał autor z cytatami z jego utworów. Tom zawiera też szkic o filozofji estetyki Schillera. Książkę zdobi szereg obrazów szillerowskich, pięknie reprodukowanych.

Rossica

Pod tytułem „Rosyjscy symboliści" ukazał się zbiór listów, zredagowany przez N. Aszukina na podstawie materjałów znajdujących się w moskiewskiem muzeum literatury. W zbiorze tym znajdują się listy Brjusowa, Błoka, Sołoguba, Mereżkowskiego, Biełego, oraz wspomnienia literackie Sadowskiego i Brjusowa.

Mikołaj Łoskij, filozof rosyjski przebywający obecnie w Pradze, wydał ostatnio niewielką pracę p. t. „Dialekticzeskij materializm w SSSR" (YMCA - Press — Paryż). W studjum tem poddaje autor krytyce założenia podstawowe materjalizmu.

Morfologją cywilizacji rosyjskiej zajmuje się Evel Gasparini w swej pracy, zatytułowanej „La cultura delle steppe", wydanej przez Instytut „l'Europa Orientale" w Rzymie. Pracę uzupełnia 4 mapy.

W antologji poezji białoruskiej, wydanej w Moskwie pod redakcją P. Brouka, znajdujemy przedewszystkiem rewolucyjne wiersze przedstawicieli tego narodu. I tak np. Andrzeja Aleksandrowicza wiersz o „Niezapomnianej wiośnie", Michała Carota „Syn partyzanta", Jakóba Kolasa „Na szlakach wolności", P. Hlebki „O wiośnie i rewolucji", „Noc w wojennym taborze" i in.

Gordon Craigh będzie reżyserował szekspirowski „Sen nocy letniej" w Teatrze Małym w Moskwie. W r. 1935 ma teatr ten przygotować kilka utworów; będzie je następnie grał podczas swego turnée po Europie i Ameryce.

Historja Rosji w oświetleniu niemieckiem. Berliński historyk, prof. K. Stählin wydał (nakł: wyd. „Ost-Europa" w Królewcu) obszerną, trzytomową historję Rosji p. t. „Darstellung der Geschichte Russlands". Tenże autor ogłosił równocześnie studjum p. t. „Russisch - Turkestan gestern und heute, zusammengestellt nach einem Reisetagebuch". Równocześnie ukazały się prace dwóch innych autorów: P. Kleista „Die völkerrechtliche Anerkennung Sovjetrusslands" i E. Thiela „Verkehrsgeographie von Russisch-Asien".

Prof. G. Wednadzki, rosyjski uczony, pracujący od czasu przewrotu bolszewickiego w amerykańskim uniwersytecie w Yale, wydał pracę o „Ustawnaja Gramota", konstytucji nadanej Rosji w latach 1818—1820 pod wpływem wojen napoleońskich. Autor rozpatruje projekt Nowosilcowa, dalej konstytucyjną „chartę" Aleksandra I, która usiłowała związać zdobycze francuskie, angielskie i amerykańskie z „życiem rosyjskiem".

Koncert egotyczny

Władysław Sebyła. Koncert egotyczny. Warszawa — Kraków 1934. Wydawnictwo J. Mortkowicza, T-wo Wydawnicze w Warszawie. Str. 60.

Sebyła znany jest jako autor wspólnie z A. Maliszewskim wydanego w r. 1927 zbiorku wierszy, oraz „Pieśni szczurołapa" z r. 1930. Obecnie wydany tom składa się z „sonaty nieludzkiej" — „Młynów", ośmiu nokturnów, poematu refleksyjnego „Koncert egotyczny", oraz cyklu „Trójśpiew prosty i inne".

Zastanawia rodzaj leitmotywu: — ucieczka do nocy wizyj poetyckich od realizmu zwykłego dnia. Poeta jest, albo może bezwiednie pozuje na istotę bierną, biedną, zahukaną męką życia. Może to jednak tylko reakcja poetycka na wątpliwości programowe, na nieustalony widocznie, — przy wybitnem odczuwaniu tego nieustalenia — kościec „bojowy". Takie pozostaje wrażenie.

Zwrócimy tu uwagę przedewszystkiem na „Młyny" i „Koncert egotyczny". „Młyny" zbliżają się do doskonałego poematu. Posiadają najważniejsze zalety dobrego utworu poetyckiego: realja niewątpliwe w swym autentyzmie i wizję poetycką, jakby barwę, zniekształcającą realja. Może tej wizji gdzie niegdzie za dużo, a właściwie pozorów wizji, nprz.:

> Jako liście lecieli aniołowie w wietrze jesiennym,
> furkotali błonami skrzydeł nietoperzy,
> wypadali chmarami z pustki bezdennej
> i na samotnej wieży siadali bezmyślnie.

Taką wizję uważam za pozorną, t. zn. autor nie miał w istocie rzeczy opisanego widzenia. — rzekoma wizja wyłoniła się raczej z zestawienia wyrazów, z papieru, jest cieniem — jak słusznie nazywa to poeta w „Koncercie egotycznym". Tam, gdzie tych cieni niema, gdzie wizja opiera się na sumie rzeczywistych wrażeń, użytych jako surowiec do przeróbki poetyckiej, spotykamy zupełnie inny ton, naprz.:

> W spulchnionej ziemi głowy glist
> do nor zbutwiałe ciągną szczątki,
> huśtają się, kurczowo do nadbrzeżnych trzcin
> przypięte i ciemnością oślepione łątki.
> Na płytkiem bagnie kipi war
> kijanek i pijawek... i t. d.

Tam, gdzie poeta obronił prawdziwe fantazjotwórstwo przed jego cieniami, powstały piękne partje, które decydują o niewątpliwej wartości poematu „Młyny", najlepszego utworu w omawianym tomie.

Że poeta dręczony jest nieokreślonym stosunkiem do słowa poetyckiego, dowodzi poemat tytułowy „Koncert egotyczny". Jest to właściwie poetycka introspekcja, a zarazem dokument nieobojętny dla psychologji twórczości. Poemat napisał poeta wątpiący w wartość poezji, w wartość słowa. Poezja jest tylko „kołami na wodzie", — „twardo stukają rytmy, pusto dźwięczą słowa, które nie mówią nic". Stąd pytanie: „Poezjo! czyś jest tylko słów igraszką?" Poeta kołysany jest zwątpieniami, każącemi mu widzieć w słowach tylko cienie prawdy. Nie wiemy, czy przebije „głową mur cieniów". Narazie skłania się ostatecznie ku tezie, że słowo poetyckie „to zamki na lodzie, które rozpływają się we mgle, skoro wstawisz w nie jedną rzeczywistą cegłę".

Introspekcja niemocy poetyckiej, przeprowadzona przez Sebyłę na samym sobie, jest rodzajem spowiedzi publicznej, która zobowiązuje. Ale poeta odbył tę spowiedź nietylko za siebie — poematem jego przemawia niemal całe pokolenie poetów, wątpiących w wartość poetyckiego słowa, skłaniających się ku twierdzeniu, że poezja jest tylko igraszką słów. Jest to kwestja wiary. Ostatnio daje się zauważyć reakcja przeciw podobnemu niedowiarstwu. Zaczyna triumfować teza, że słowo poetyckie nie może być cieniem rzeczy, gdyż wtedy przestaje być poezją, — lecz rzeczą samą w sobie, o ile jest uwarunkowane autentycznem wzruszeniem i autentyczną wizją poety. W tych okolicznościach poezja przestaje być igraszką słów. „Koncert egotyczny" wskazuje, że poeta doszedł do punktu, w którym albo łamie się pióro (poemat poświęcony jest Lechoniowi), albo odzyskuje się wiarę, poddając stanowczej rewizji stosunek własny do słowa. W każdym razie omawiana książka stanie się zapewne zamknięciem jednego okresu twórczości poety. Czy będzie otwarciem nowego okresu, okresu uleczonego od zwątpień poety? Możnaby sądzić, że tak. Postawienie zagadnienia (każdy prawdziwy poeta powinien przejść taki Rubikon) prowadzi do właściwego rozwiązania. Poeta, który zdobył się na tak wartościową, rzadko spotykaną introspekcję, — który dał kilka prawdziwie pięknych wizyj w „Młynach". — stoi o krok od zasadniczej przemiany poetyckiej. Częste zjawisko:— najbardziej wątpiący stają się najgorliwszymi wyznawcami. Takiej przemiany szczerze udręczonemu poecie życzyć trzeba.

St. Czernik.

Wronskiana

Tom V „Archiwum Komisji do badania historji filozofji w Polsce", (w Krakowie, nakł. Polskiej Akademji Umiejętności, r. 1933, str. 198), wypełniają nader interesujące studja: 1) ks. dr. Tadeusza Jachimowskiego: „Dokumenty do sprawy pozbawienia katedry filozofji Józefa Gołuchowskiego w Uniwersytecie Wileńskim", 2) Adama Bara: „Zwolennicy i przeciwnicy filozofji Hegla w polskiem czasopiśmiennictwie (1830—1850)". W tem drugiem, ważnem dla historji mesjanizmu w Polsce, studjum, autor zastanawia się m. in. czy i o ile wpłynąć mogła doktryna Hoene-Wrońskiego, a zwłaszcza jego „prawo stworzenia" na filozofję Henryka Kamieńskiego, u którego „istotą absolutu jest siła twórcza, czyli twórczość, a przymiot jego, prawda bezwzględna jest tej twórczości prawem", przyczem „pojęcie tego prawa jest od pojęcia absolutu nierozdzielne". Istotnie konneksje te zdają się być niezaprzeczalne, tembardziej, że Kamieński wywodzi podobnie jak Wroński, z prawa tworzenia także i prawo postępu („również prawem od pojęcia absolutu nierozdzielnem, na mocy którego wszystko z tego absolutu wypływa, jest konieczny postęp ludzkości"). Jak zaznacza A. Bar, Libelt przypuszczał, że to Kamieński wywarł wpływ na Wrońskiego, w czem oczywiście „myli się, bo pierwsze artykuły Kamieńskiego ukazały się dopiero w r. 1843", podczas gdy „Prodrom" Wr. ukazał się już w r. 1803. (Dodamy tu, że zarys doktryny mesjanicznej H.-Wr. powstał już w roku 1803). Jednakowoż Bar dochodzi ostatecznie do konkluzji, że i Kamieński filozofji Wrońskiego nie znał; byłoby to więc tylko luźne pokrewieństwo idej, n. b. tak charakterystyczne dla wszystkich myślicieli polskich z tego okresu.

Referując mimochodem ogólne zasady doktryny Wrońskiego autor popełnia nieścisłości, które uważamy za swój obowiązek sprostować. Pisze mianowicie: „Mesjanizm Wrońskiego, jako nowa doktryna filozoficzna zawiera zasadniczo dwa działy sprzeczne i niejako heterogeniczne, z jednej strony filozofję spekulatywną, mającą za przedmiot stworzenie praw bezwładnych przyrody..., a która powinna odsłonić pierwiastki twórcze tego wszystkiego, co jest i co stanowi świat, czyli położyć zasady filozoficzne wszystkich nauk i okazać, że się wszystkie dadzą wyprowadzić z jednego fundamentalnego prawa; z drugiej strony filozofję praktyczną, mającą na celu stworzenie przepisów samorzutnych rozumu... i ukazanie ostatecznych kierunków tych rzeczywistości, które człowiek jako istota rozumna i twórcza wprowadza. Dla całości systematycznej tej doktryny, zawiera ona również dział trzeci, stanowiący filozofję teleologiczną, która ma za przedmiot zbieg systematyczny wspomnianych elementów sprzecznych i heterogenicznych... Taka jest zasada filozofji Wrońskiego, którą nazywa metodą genetyczną, nie przecząc równocześnie, że opiera się ona „dans les derniers progrès de la récente philosophie germanique", czyli na metodzie spekulacyjnej Hegla". (str. 120).

Otóż podział powyższy uwzględnia tylko trzy szczeble hierarchiczne doktryny Wrońskiego (układ ich jest n. b. wzorowany na podobnym układzie u Kanta). Tymczasem filozofja spekulatywna, praktyczna i teleologiczna stanowią niejako wstęp do właściwej doktryny, na którą składa się filozofja Słowa czyli *Stworzenia*, jako czysta filozofja transcendentna, ugruntowana na metodzie genetycznej, oraz sama *filozofja absolutna*, ugruntowana na Prawie Stworzenia, będącego samookreśleniem się istoty wnętrznej absolutu*). Tak więc zasadą najwyższą filozofji jest nie „metoda genetyczna", lecz istota wnętrzna absolutu („Archi - absolu", zwane też przez Wr. „Indicible", Niewysłownem), zaś jej metodą najwyższą: Prawo Stworzenia. Należy rozróżnić *metodę genetyczną* od Prawa Stworzenia, jako *metody absolutnej*. Pierwsza jest samym procesem twórczym, implikującym pojęcie „genezy" i zawiera zarówno indywidualność, jak powszechność; druga, jakkolwiek składa się w zasadzie z tych samych elementów kreacyjnych, co i metoda genetyczna, eliminuje już całkowicie indywidualność, jest samą tylko powszechnością, prawem. Metoda genetyczna należy już wprawdzie do filozofji achrematycznej, ale filozofja absolutna wznosi się jeszcze wyżej, obejmując w sobie zarówno achrematyczność jak chrematyczność i czyniąc obydwie te sfery rzeczywistościami składowemi jednego Prawa Stworzenia. Wroński nie pisze nigdzie, że zasada jego filozofji opiera się „na metodzie spekulacyjnej Hegla". Błędne to mniemanie powziął autor zapewne pod wpływem Libelta, który w sumiennym swym wykładzie doktryny Wrońskiego przeprowadza chybioną nieco paralelę między Prawem Stworzenia a heglowska metodą djalektyczną; że się nie mylimy dowodzi następujący wywód A. Bara: „To, co Hegel nazywał abstrakcyjnym bytem (reines Sein), u Wrońskiego jest prawem najwyższem (la loi supreme). Hegeljański abstrakcyjny niebyt (Nichts) odpowiada Wrońskiego „zadaniu powszechnemu" (le problem universel). Harmonja tych dwóch sprzeczności, określona w filozofji Hegla jako stawanie się (das Werden)..., jest u Wrońskiego „celowością ostateczną" (le concour final), odpowiadającą rzeczywistości dziejów". Otóż identyczny wywód znajdujemy u Libelta. Autor zresztą powołuje się na Libelta zaraz poniżej.

I jeszcze jedna niedokładność. Autor pisze: „Wroński stwierdza, że filozofja niemiecka doszła do pojęcia absolutu, określając go jako ideę w pierwotnej tożsamości wiedzy i bytu. Ale zarówno wiedza, jak i byt i sama tożsamość są wyobrażeniami tego świata, należą do rzeczywistości stworzonych, το χρῆμα, były zatem chrematyczne. Czyli filozofja Hegla w swojej ostateczności daje pojęcie absolutu w samej chrematyczności, a więc odsłania tylko zewnętrzną stronę absolutu, nie podniosła się jednak do granicy jego istoty wewnętrznej, dotąd nieprzeniknionej żadnym rozumem ludzkim. Pojęciem absolutu w achrematyczności, t. zn. poza obrębem i pojęciem rzeczy stworzonych, a których absolut stanowi tylko początek, jest filozofja Wrońskiego". Autor zreferował tu zupełnie trafnie rozgraniczenie, jakie Wroński przeprowadza między filozofją niemiecką a mesjanizmem. Jednakowoż u Wrońskiego nie „filozofja Hegla", lecz Schelling „daje pojęcie absolutu w samej chrematyczności" odsłaniając formę zewnętrzną absolutu w tożsamości bytu i wiedzy. Hegel nie dotarł tak wysoko, dał bowiem jedynie aspekt logologiczny absolutu (od strony wiedzy), tak jak Krauze dał znowuż jego aspekt ontologiczny (od strony bytu).

Autor kończy następująco swoje interesujące wywody:: „Wroński był przekonany, że jego filozofja jest dalszym ciągiem, uzupełnieniem spekulacji hegeljańskiej... Istotnie Wroński spekulację hegeljańską posunął o znaczny krok naprzód. Dembowski i Kamieński, stawiając zasadę twórczości, w istocie nie posunęli się poza hegeljański absolut. Wroński przez swoją achrematyczną teorję wychodzi z tego miejsca, w którem się ich filozofja kończyła".

* *
*

Dr. Witold Rubczyński, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydał ostatnio „Repetytorjum dla przygotowujących się do egzaminu magisterskiego", p. t. „Główne kierunki filozofji w porządku, w jakim po sobie następowały" (Jan Jachowski, Księgarnia Uniwersytecka, Poznań 1934, str. 63). W rozdziale VI-tym, zatyt. „Filozofja osobowości Maine'a de Biran i filozofja twórczości w systemie Hoene-Wrońskiego" pisze on: „Dwaj myśliciele pobudzeni przez Kanta, jeden z nich nazwany „francuskim Kantem**), próbowali ulepszyć jego system i uzupełnić przez wykazanie, iż formy poznania: kategorje, czas i przestrzeń, nie są czemś czysto podmiotowem, próżnem w swej treści lub sztywnem, ale odpowiadają w pewnej mierze przynajmniej bytowi niezależnemu od ludzkich myśli i oglądów". Omówiwszy naprzód filozofję M. de Biran, przechodzi prof. Rubczyński do H. - Wr., który usiłował uzupełnić kantyzm „wykonując nadbudowę metafizyczną. Wiedzy musi, jego przekonaniem, odpowiadać byt. Ponad wiedzą i bytem umieścił ich wspólne źródło: absolut i nicodmówił temuż przymiotów, które przypisują Bogu religje monoteistyczne, a nawet związanych ze specjalnie katolickiemi wierzeniami. Są u niego przy tem wszystkiem bardzo widoczne pokrewieństwa z neoplatońską Prajednią ponad umysłem i ponad jedynie prawdziwym ideowym bytem, po innej stronie znów z ujmowaną przez tomizm pełnią czystego Bytu (Bożego), acz ta jest wedle Św. Tomasza tylko proporcjonalnie („per analogium") porównywalna z bytem konkretnie realnym, uchwytywanym przez ludzki umysł..." (str. 39). „Twórczość, nieuwarunkowaną przez nic poza sobą samą i warunkującą wszystko inne, przyjmowało przed Wrońskim już wielu myślicieli dawniejszych i nowszych. On dopiero był na tyle śmiały, a w swym racjonalizmie niepohamowany, żeby pokusić się o sformułowanie prawa stwarzania („loi de création"), które uważał za swe największe odkrycie. Za wrogów nauki i rozumu, za nieuleczalnych mistyków uchodzili mu ci, których przekonaniem umysł ludzki nie może ogarnąć istoty Boga, ani przeniknąć do głębi Jego zrządzeń i musi przywoływać na pomoc uczucie, ekstatyczną miłość, by się z Bogiem zjednoczyć. Na tle takiego przypisywania wszechmocy rozumowaniu dedukcyjnemu, co się poniekąd tłumaczy wielkiemi zdolnościami i zasługami Wrońskiego w matematyce, łatwo pojąć, jak doszło u niego do zakreślenia filozofji zadań w sposób oczarowujący jeszcze i dziś wielu znakomitych twórców. Wypowiedział twierdzenie, że głównym przedmiotem filozofji jest wytwarzanie przez człowieka rzeczywistości bezwzględnej w celu przyswojenia sobie istoty Stwórcy i zdobycia sobie nieśmiertelności, którą człowiek może pozyskać tylko przez samorzutne odkrycie prawdy bezwarunkowej, czyli Absolutu. Wroński zatem albo rozumiał „nieśmiertelność" dwojako: 1-o każdej ludzkiej duszy, 2-o nieśmiertelność wpływu duchów, które samorzutnie odkryły prawdę absolutną, albo wogóle odmawiał nieśmiertelności duszom ludzi niebędących takimi odkrywcami. Jego „prawo stwarzania" było niewątpliwie gigantycznym, — ale dotąd toczy się spór o to czy udałym — wysiłkiem myślowym, by wyprowadzić różnorodność świata z absolutnej jedności Boga przez kombinację dwu pędów: „autotezji" ku określoności, zróżniczkowaniu, i „autogenji" ku upowszechnieniu, całkowaniu i zespalaniu się wszystkiego. Ale ten był ostateczny szkopuł groźny w jego filozofji: czy można, bez popadania w niedopuszczalne naukowo przenośnie a nawet bez podświadomego przerzutu na stanowisko obce jego początkowemu założeniu, używać wyrazu „kreacja", co więcej „autokreacja" zarówno o Bogu, jak o człowieku?"

Zestawienie z Plotynem jest bardzo interesujące, pokrewieństwo jest jednak raczej pozorne; a już neoplatońskie poznanie najwyższe przez ekstazę (pozarozumową, a więc mistyczną) jest biegunowo przeciwne Wrońskiego poznaniu przez *stworzenie*, (a więc przez rozum, który jest w nas jedyną potęgą twórczą). Z św. Tomaszem zestawia Wrońskiego najwybitniejszy badacz filozofji absolutnej Francis Warrain, budzi to jednak zastrzeżenia szeregu innych wronskistów, ze ze względu na to, że Św. Tomasz nie znał jeszcze metody krytycznej, a rozum identyfikował z intelektem, nie mógł mu przeto przyznać atrybutu stwórczości. Najważniejszem dla zrozumienia wronskizmu jest to, że „rozum" jest tu czemś innem, niż w racjonalizmie nowożytnym, gdzie oznacza on to samo, co intelekt, rozsądek. U Wrońskiego rozum to „hyperlogizm", jaźń transcendentna, najwyższa jednia osobowości, wyposażona we władzę stwórczą i będąca podstawą zarówno uczucia, jak poznania i woli. Idea nieskończoności, liczby niewymierne i t. d., dają nam najbardziej przybliżone pojęcie o istocie rozumu. Wrońskiego „niepohamowany racjonalizm" polega na tem, że wtargnął on na to ostatnie terytorjum duszy ludzkiej, gdzie chronił się jeszcze „irracjonalizm" i dokonał zupełnej jego penetracji rozumowej. Dlatego ten groźny szkopuł, o którym mówi prof. Rubczyński — już nie istnieje; Wroński używając terminu: kreacja (czy „autokreacja"), nie popada „w niedopuszczalne naukowo przenośnie", gdyż precyzuje go aż do ostatecznych granic; napisał przecież dziesiątki dzieł, w których zajmuje się nie czem innem, jak warunkami i architektoniką wnętrzną samego aktu stwarzania. Prawo Stworzenia to właśnie jego kanon, odsłaniający nam istotę Stwórcy, przyczem Wroński posunął swą skrupulatność racjonalistyczną aż tak daleko, że dał sprawdzian doskonały tego Prawa, zapomocą absolutnej filozofji matematyki, gdzie poszczególne prawa i funkcje matematyczne pokrywają się z odnośnemi elementami Prawa Stworzenia.

Zdanie prof. Rubczyńskiego o „kreacji" nie jest całkiem jasne. Możliwe, że szło mu nie o niedopuszczalność naukową posługiwania się ideą „stwarzania", lecz o rozszerzanie jej zakresu na człowieka. Powstałby tu znowu problemat, w jakiej mierze natura ludzka homogeniczna jest z naturą boską. Otóż u Wrońskiego elementem homogenicznym jest właśnie rozum, jako stwórczość sama w sobie, wiedza absolutna (Savoir-en-soi-même). Funkcje tej wiedzy są w człowieku sparaliżowane przez jego organizacje fizyczną, doczesną, t. j. przez niezbędność z nim bytu absolutnego, będącego udziałem Boga. Odzyskać ten byt (utracony n. b. przez *upadek człowieka*, jaki dokonał się w zamierzchłej przeszłości historycznej), to osiągnąć nieśmiertelność osobową, która dziś jest w nas tylko potencjalnie, a powinna stać się *aktualna*. Nastąpić to może jedynie przez odkrycie Absolutu, a więc przez dołączenie bytu absolutnego wiedzy absolutnej, jaka jest nam już teraz rdzennie właściwa. Tu odpowiedź na pytanie prof. Rubczyńskiego, jak rozumiał Wroński „nieśmiertelność". Niewątpliwie uznawał on nieśmiertelność dwojaką: potencjalną, którą ma każda dusza ludzka stworzona przez Boga, i aktualną, którą winniśmy nadać sobie sami. Zgadza się w tem z religją (że przypomnimy tylko nakaz, wygłoszony przez Chrystusa w rozmowie z Nikodemem: „Opportet vos nasci denuo). O odmówieniu nieśmiertelności wogóle wszystkim tym, co nie odkryli Absolutu, nie może tu być mowy. Zresztą wchodzi tu w grę również solidarność całego rodzaju ludzkiego, gdyż życie każdej jednostki twórczej (niedestrukcyjnej) jest momentem całkującym historji, zbliżającym ludzkość do jej absolutnego celu.

---

*) Vide: „Prolegomena do Mesjanizmu", tom III-ci.

**) Mowa o M. de Biran; n. b. Wroński był pierwszym ambasadorem kantyzmu we Francji.

Z wydawnictw polskich

Ukazało się drugie wydanie doskonałej książki prof. Stan. Kota p. t. „Historja wychowania" (Państw. Wyd. Książek Szkolnych — Warszawa). Tom I, obejmujący okres od czasów starożytnej Grecji do połowy w. XVIII poprzedzony jest wstępem, obrazującym istotę i ewolucję wychowania, rozwój nauki o wychowaniu zawierającym w zakończeniu krótką bibljografię. Właściwa treść tomu pierwszego rozpada się na cztery obszerne rozdziały poświęcone kolejno wychowaniu helleńskiemu grecko - rzymskiemu, średniowiecznemu, wreszcie humanistycznemu. Tom II zajmuje się dziejami wychowania nowoczesnego. Część 1-sza nosi tytuł „Pedagogika naturalna", cz. II-ga „Komisja edukacji narodowej w Polsce (1773—1794)", cz. III „Zwycięstwo liberalizmu w wychowaniu publicznem w XIX w.", cz. IV — „Rozkwit i niedola szkolnictwa polskiego w XIX w.", cz. V — Prądy współczesne w wychowaniu".

Literatura francuska

Wydano ostatnio kilka prac o Napoleonie. Pierwsza z nich, to praca Ludwika Madelin p. t. „Napoléon" (Coll. „Les Constructeurs" — Dunod — Paryż), traktująca psychikę Napoleona z rasistowskiego punktu widzenia. Autor kwalifikuje jego zmysł organizacyjny i konstruktorski jako wykwit rasy romańskiej. Druga książka to Fryderyka Massona „Bonaparte et les femmes" (E. Flammarion — Paryż), operująca częściowo mało- i zupełnie nieznanymi materjałami. Trzecie studjum, to analiza stosunków Napoleona jako wodza z jego marszałkami. (Laurance Currie: „The Baton in the Knapsack. New light on Napoléon and his Marshals") — Książka żywo napisana, usiłuje udowodnić, który z marszałków pomocą był cesarzowi w bitwach, a który z licznego sztabu mógł być przyczyną jego upadku.

Jules'a Romainsa powieści cyklicznej p. t. „Les hommes de bonne volonté" (Flammarion — Paryż) ukazał się tom 7 i 8. Tytuły: „Recherche d'une èglise" i „Province"

Polska w krzywem zwierciedle

Jako jeden z 19-tu dotychczas wydanych tomów *„The Modern World. A survey of historical forces“* (Świat nowoczesny Przegląd sił historycznych[1]) ukazała się książka o Polsce p. t. *„Poland“*, pióra *prof. Romana Dyboskiego*

Z przedmowy H. A. L. Fishera dowiadujemy się, jak szlachetną intencją względem Polski, kierował się wydawca, powierzając napisanie tego dzieła Polakowi:

„Traktat Wersalski zakończony został pokojem kartagińskim... Z nowych jego kreacyj, Polska jest najważniejszą, najciekawszą i najbardziej kontrowersyjną. Przez cały bieg historji Polacy, podobnie jak Irlandczycy, wśród burz dziejowych pozostawali waleczni, ryzykanccy, pełni temperamentu, nie znoszący ucisku. Koleje ich losu podlegały krańcowym wahaniom. To byli oni panami rozległego państwa, to ulegali podziałom i tracili byt samodzielny. Że z pnia polskiego wyrastać mogą owoce wspaniałe, tego dowodzą dostatecznie nazwiska Kopernika, Conrada i Leibniza[2]) (którego rodowód wyprowadza się również z Polski)...

„Ponieważ przyszłość nowej Rzeczpospolitej Polskiej budzi tyle zakusów i sporów, uważaliśmy za wskazane zaprosić wybitnego historyka polskiego, władającego znakomicie językiem angielskim, aby uzupełnił serję tego wydawnictwa tomem o Polsce. Oczywiście, prof. Roman Dyboski nie podchodzi do swego tematu z tak lodowatą bezstronnością, jakiej możnaby się spodziewać ze strony komentatora Japonji. Głos krwi odzywa się w nim zbyt silnie. Jednakże dla angielskiego czytelnika większą przedstawia wartość obraz sprawy polskiej nakreślony przez wybitnego uczonego, namiętnie w nią wierzącego, niż gdyby miał on się z nią zapoznać za pośrednictwem cudzoziemca; chociażby nawet ocena taka wypadła skrupulatniej, nie byłaby sprawiedliwą dla ducha i form życia polskiego.

„Oto mamy książkę napisaną z wielką mocą i przekonaniem, jak również z ogromnym zasobem wiedzy, przedstawiającą publiczności angielskiej sprawę Rzeczypospolitej Polskiej i rację jej bytu niepodległego, na który sobie zasłużyła i jaki ma nadzieję zachować“ (str. 9 — 10).

Czy książka ta, wydana luksusowo i opatrzona mapą Polski dzisiejszej, przy pełnej swej objętości 443 stron, odpowiada wyżej nakreślonym intencjom i nadziejom wydawcy z punktu widzenia interesów i słusznych ambicyj narodu polskiego, oraz dobra społeczeństwa angielskiego, zechcą czytelnicy nasi ocenić na podstawie kilku — niżej podanych wyjątków, w wyborze których kierowaliśmy się tematami najbardziej nas interesującymi.

Rozprawiwszy się w roz. I p. t. „Polska dawna“ (The Old Poland) na 20 stronach z całą historją Polski przedrozbiorowej, autor w roz. II p .t. „Polska pod obcymi rządami“ (Poland Under Foreign Rule) pisze tak o Wielkiej Emigracji (str. 39 — 40).

„Wielka Emigracja, jak historycy Polscy ją nazwali, była pod względem politycznym tak rozdzielona namiętnościami, jak to się dzieje z emigracją rosyjską na zachodzie Europy w dobie obecnej. Lecz nienormalne i gorączkowe warunki bytu wygnańczego stały się istną cieplarnią dla jej twórczości intelektualnej. Poezja polskiego ruchu romantycznego, zapoczątkowana w Ojczyźnie pod rozmaitemi wpływami obcemi przed powstaniem, przetworzyła się na wygnaniu w istną Ewangelję narodową, złożoną z nieśmiertelnie pięknych dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i innych poetów. Owoce ich genjuszu wzbogacały mistrzowskie dzieła muzyczne Chopina, który inspirował ich silnie obrazami cierpień i minionej wielkości narodu. Nowa tragedja narodowa w interpretacji twórczych myślicieli polskich, którzy stosowali do niej idee historjozoficzne Hegla, stała się źródłem metafizycznego bogactwa przez idealizowanie jej jako cierpienia, mającego służyć do osiągnięcia wyższego stopnia moralności międzynarodowej. Naród pozbawiony organów politycznych, w których mógłby się wypowiedzieć, żywił się pokarmem duchowym, dostarczanym przez poezję, filozofję i sztukę mistrzów wielkiej emigracji; i to, co byłoby niedostatecznem do podtrzymania go w warunkach normalnych, służyło w dniach owych bezsprzecznie do zachowania świadomości narodowej i do wytworzenia swoistego poczucia dostojeństwa w poniżeniu niewoli. Poeci polscy byli dla swego narodu tem, czem prorocy hebrajscy w starożytności dla swojego. Nadali oni imieniu Polski na zachodzie większy rozgłos, niż go posiadała kiedykolwiek przedtem. Prelekcje Mickiewicza w początkach lat 40-tych na nowoutworzonej katedrze literatur słowiańskich w Uniwersytecie Paryskim były pierwszą wielką rewelacją doskonałości genjuszu słowiańskiego i doniosłości narodów słowiańskich dla umysłowości zachodnio - europejskiej“.

Tyle czytelnik angielski otrzymuje konkretnych wiadomości o znaczeniu Wielkiej Emigracji dla kultury polskiej i o udziale jej w kulturze europejskiej.

W rozdz. VIII, p. t. „Wykształcenie i nauka“ (Education and Research) o pracach naukowych w początku wieku XX (str. 304) nie wiele więcej dodano na powyższy temat; czytamy tam:

„Jeśli u schyłku XVIII stulecia dominuje w dziedzinie intelektualnej typowa dla wieku XIX postać Stanisława Staszica ,ojca nowoczesnych polskich nauk przyrodniczych, to lata 30-te, 40-te i 50-te zaznaczają się przewagą nie mniej typowego przedstawiciela romantyzmu naukowego, Joachima Lelewela, który w miejscu swego wygnania, Brukseli, wydaje całą bibljotekę studjów historycznych, przepojonych całkowicie romantyczną doktryną socjologiczną o „ludzie“, jako głównym aktorze na scenie historji. Nie tylko myśl romantyczna, ale również wielka poezja romantyczna tego okresu dominuje całkowicie nad wszelkiemi dociekaniami naukowemi ówczesnej ery, zwłaszcza w zakresie humanistyki. Największy poeta polski, Adam Mickiewicz, zajmuje nowoutworzoną katedrę studjów słowiańskich w Collège de France i wygłasza epokowy kurs odczytów o literaturze narodów słowiańskich; inny poeta W. Pol odznacza się jako profesor geografji w Uniwersytecie Krakowskim, a cudownie płodny nowelista J. I. Kraszewski — polski Walter Scott — uprawia swe dzieło chwalebne w zakresie historji“.

Dalej znajdujemy ustęp o wpływach niemieckich na kulturę polską z takimi „wybitnymi“ przedstawicielami nauki niemieckiej, jak Linde, autor dykcjonarza języka polskiego, Frank, reorganizator studjów medycznych, Groddeck, profesor klasyków w Wilnie, którzy na tym urodzajnym pniu umysłowości polskiej — o jakim wspomina wydawca — zaszczepiali mądrość pochodzenia germańskiego. Zaś lata 40-te i 50-te w dziedzinie filozoficznej — łącznie z wielką poezją romantyczną — opanowane być miały całkowicie przez wpływ Hegla, („Chrystusa naszych czasów“, jak go miał nazwać któryś z polskich myślicieli) i jego historjozofję. I na tem u prof. Dyboskiego kończy się w danym okresie twórczość polska w dziedzinie nauki, której, jak z tego wynika, niczem oryginalnem nie wzbogaciła.

W tymże rozdziale na str. 329 — 330 natrafiamy na interesujący nas specjalnie ustęp o mesjanizmie polskim, który, jako klasyczny, przytaczamy in extenso w wiernym przekładzie:

„Polska myśl filozoficzna, jak niejednokrotnie wspomniano już uprzednio, w początku wieku XIX, była ogromnie pobudzana przez tragiczną zagadkę nieszczęść i cierpień narodowych a jednocześnie znajdowała się pod głębokim wpływem historjozofji Heglowskiej, cieszącej się wówczas wziętością w Europie. Kształtowany przez dwa te czynniki powstał system myśli narodowej, który w rękach wielkich poetów romantyzmu polskiego osiągnął godność ewangelji patrjotyzmu; przeszedł on do historji pod mianem „mesjanizmu“ od „Mesjasza pomiędzy narodami“, którą to nazwę przyznał Polsce, cierpiącej za wszystkie narody. W grupie wybitniejszych pisarzy prozy filozoficznej, którzy w dziełach swych rozwijali mniej lub więcej koncepcje „mesjaniczne“, postać Augusta Cieszkowskiego dominuje nad innemi, zarówno swem szlachectwem moralnem, jak i potęgą intelektualną ;dzieło jego podstawowe „Ojcze Nasz“, którego część druga ukazała się w długi czas po jego śmierci, słusznie zwraca na siebie jeszcze w dobie obecnej uwagę międzynarodową, w swem skróconem wydaniu angielskiem, w jakiem ukazała się niedawno (Odnośnik: A. Cieszkowski, The Desire of all Nations, being an English edition (abridged) od Our Father, prepared by W. J. Rose, (Pragnienie wszystkich Narodów, angielskie wydanie skrócone „Ojcze Nasz“, opracowane przez W. J. Rose) London, Student Christian Movement Press, 1919).

„Nie można też pominąć tu innej bardziej dwuznacznej postaci, J. M. Hoene-Wrońskiego, którego tomowe i zawiłe pisma (przeważnie po francusku), dotyczące prawie wszystkich dziedzin myśli ludzkiej, w czasach obecnych doznają reedycji i są wynoszone pod niebiosa przez sektę entuzjastycznych wielbicieli, rekrutujących się z wielu krajów i złączonych wiarą w Hoene-Wrońskiego, jako największego i najbardziej uniwersalnego myśliciela współczesnego (Odnośnik: patrz zwłaszcza F. Warrain: L'Armature Métaphysique, établie d'après la Loi de Création de Hoene-Wroński, 1925). Nie brakowało krytyków, którzy poszli taksamo dalcko w kierunku przeciwnym, wystawiając Wrońskiego nie mniej ni więcej tylko jako pompatycznego szarlatana: w tym aspekcie figuruje on we współczesnej mu noweli Balzac'a à „La recherche de l'absolu“, to też w podwójnem oświetleniu tych dwóch krańcowych poglądów postać ta zagadkowa stoi dotychczas przed oczyma bezstronnych obserwatorów doby obecnej.

Wroński był tym, który wynalazł termin „mesjanizm“ dla swojej filozofji; jednakże nie w jego rozumieniu tego słowa, lecz w zupełnie odmiennym sensie termin ten nadany został przez myślicieli romantycznych, a zwłaszcza przez wielkich poetów polskich wieku XIX-go duchowej historji narodu, jako „mesjanizm polski“. Szlachetne iluzje historjozofji romantyzmu długo jeszcze w Polsce, tak jak i w innych krajach, panowały w licznych systemach myśli twórczej, jakie się kolejno rozwijały a potem zanikały. Pewną dziwną postać z pomiędzy żyjących wspomnieć tu należy, jako niezachwianego obrońcę trwałej żywotności i uniwersalnej stosowalności polskiej filozofji romantycznej. Jest nim prof. W. Lutosławski, który wiele lat temu wyrobił sobie imię w Anglji epokowemi swemi studjami o Platonie. W ostatnich trzydziestu latach nie zaprzestał wygłaszać podstawowych prawd polskiego mesjanizmu w doktrynie, interpretowanej i rozwijanej przez siebie, wespół z innem ulubionem swem wierzeniem — którego źródłem są jego studja hinduizmu — mianowicie z wiarą w reinkarnację“.

Ostatnie to nazwisko, wyczerpujące zakres wiadomości o polskiej filozofji mesjanicznej[3]) podanych publiczności angielskiej „z pierwszej ręki“ oraz „z wielką mocą“ i „namiętną wiarą w sprawę polską“, jak również „z ogromnym zasobem wiedzy“, przypomina nam inny przyczynek do literatury encyklopedycznej o filozofji polskiej w wydaniu niemieckiem. Jest nim artykuł tegoż prof. Lutosławskiego w encyklopedji Ueberwega, która w latach ostatnich poświęciła również cały tom kulturze i historji Polski. Tekst ten, obejmujący kilkanaście stron druku, przedstawia całokształt polskiej twórczości filozoficznej w swoistych autorowi oparach mistycyzmu pseudo - spekulatywnego à la Towiański. — Toteż oba te źródła encyklopedyczne — niemieckie i angielskie — uzupełniają się znakomicie ku wytworzeniu ponurego obrazu polskiej kultury umysłowej w dziedzinie twórczości spekulatywnej (innych dziedzin nie badaliśmy). Powstanie ich zawdzięczamy chyba tylko gruntownej znajomości... *języków obcych*, która pozwoliła obu tym autorom odegrać rolę odpowiedzialnych reprezentantów i apostołów polskiej kultury duchowej. Czy i o ile komentatorowie nasi swemi pracami przyczynili się do chwały imienia Polski i do wzbogacenia literatury światowej materjałem informacyjnym o podstawowych wartościach naszego narodu, osądzą najlepiej rzetelni badacze zagraniczni, odnajdujący po dziś dzień w dorobku kultury polskiej niespodziewane skarby nowych świateł, zarówno w dziedzinie moralnej, intelektualnej, artystycznej jak i nauk stosowanych.

E. S.

---

[1]) London, Ernest Beun Limited.

[2]) Poczuwamy się do obowiązku sprostowania tej wiadomości, która—według nowszych badań okazała się bezpodstawna.

[3]) Na przeszło tysiąc nazwisk wymienionych w indeksie, gdzie spostrzegliśmy drugo- i trzeciorzędnych przedstawicieli z wszelkich dziedzin polskiego życia kulturalnego, brak np. Gołuchowskiego, Kremera, Libelta, Trentowskiego, jak również wielu twórczych myślicieli, uczonych i działaczy współczesnych; chwalebny wyjątek stanowią krakowianie.

Książki nadesłane

Ks. dr. Fr. Sawicki: Filozofja miłości. Kultura Katolicka (pod redakcją ks. dr. Stanisława Brossa), tom I. Poznań 1934. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Str. 116.

O. Garrigou - Lagrange O. P.: Trzy nawrócenia i trzy drogi. Kultury Katolickiej tom III. Poznań 1934. Nacz. Inst. Akcji Kat. str. 151.

S. Marja Renata: Sentire cum Ecclesia. Szkice liturgiczne. Kultury Katolickiej tom II. Poznań 1934. Nakł. Nacz. Inst. Akcji Kat. Str. 250.

S. Marja-Renata: Liturgja a sztuka. Kultury Katolickiej tom V. Poznań 1934. Nakł Nacz. Inst. Akcji Kat. Str. 211.

Robert Mäder: Chrystus Wielki Monarcha (przekł. z niemieckiego). Kultury Katolickiej tom IV. Poznań 1934. Nakł. Nacz. Inst. Akcji Kat. Str. 53.

Ks. dr. Tadeusz Jachimowski: Dokumenty do sprawy pozbawienia katedry filozofji Józefa Gołuchowskiego w Uniwersytecie Wileńskim; *Adam Bar: Zwolennicy i przeciwnicy filozofji Hegla* w polskiem czasopiśmiennictwie (1830 — 1850). Kraków 1933. Archiwum Komisji do badania historji filozofji w Polsce. Tom V. Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Str. 1 — 72 i 73 — 197.

Dr. K. Krejči: Polská literatura ve virech revoluce. S předmluvou univ. prof. dra Marjana Szyjkowského. V Praze 1934. Nak. Orbis. Str. 393.

Dr. Witold Rubczyński: Główne kierunki filozofji w porządku, w jakim po sobie następowały. Repetytorjum dla przygotowujących się do egzaminu magisterskiego. Poznań 1934. Jan Jachowski. Str. 62.

L. Dobrzyńska - Rybicka: Powodzenie życiowe. Gawędy harcerskie. Poznań 1934. Jan Jachowski. Str. 57.

Czasopisma nadesłane

Polonista (r. IV, nr. V) dr. J. Gołąbek: Budzenie zainteresowania wśród uczniów; J. Szelejewski: Psychologiczne podstawy nauczania ortografji w szk. powsz.; dr. Z. Klemensiewicz: Z zagadnień metodyki nauki o języku ojczystym; dr. S. Skwarczyńska: O formułowaniu oceny wypracowań polskich; dr. W. Szyszkowski: Drugi okres pracy w I kl. gimnazjum; J. Kulczycka: Na marginesie książki o Stanisławie Brzozowskim; J. Birkenmajer: Powieść z r. 1933; Sprawozdania, oceny.

Życie Literackie (r. I, Nr. 5) Jan Ulatowski: Kłamstwo o szarzyźnie; Adam Wiegner: Trzynasty głos w dyskusji; Z autobiografji Platona; Tomasz Carlyle: Filozofja odzieży (Aforyzmy); M. R.: W poszukiwaniu formy; wiersze W. Bąka, E. Morskiego, J. Popowskiej i A. M. Świnarskiego.

Gazeta Artystów (r. I Nr. 13)) K. Czachowski: Rola twórczości literackiej w Polsce; H. Wielowieyska: Krótkie spięcie; Z. Drohocki: Przyczyny rozłamu; A. Łaszowski: Alicja i grosz; Stan. Kramarczyk: Kometa Halley'a; J. Fr. Kmiotek: Walka o kontakt; poezje J. A. Frasika, St. Piętaka i St. Telegi.

Przegląd Współczesny (listopad 1934) Stan. Pigoń: Dramat dziejowy polsko-rosyjski w ujęciu Mickiewicza; Franck L. Schoell: Język francuski w lewantyńskich państwach (I); Marjan Zdziechowski: Za cudze winy (I); Wacław Lednicki: Puszkin — Mickiewicz (Mickiewiczowy nekrolog Puszkina I.); Aleks. Bregman: Piętnaste Zgromadzenie Ligi Narodów; Tad. Lehr-Spławiński: Kazimierz Nitsch (W 60-lecie urodzin); Tad. Sinko: Mussetowskie komedje Norwida (II); Adam Krzyżanowski: Ewolucja parlamentaryzmu z gospodarki skarbowej; Leon Hertz: Obrona celna i jej skutki; M. Znatowicz Szczepańska: Listy do miłego przyjaciela; Henryk Barycz: Jan Śniadecki w świetle własnej korespondencji.

Biuletyn Polsko - Ukraiński (r. III Nr. 48) Ś. p. Michał Hruszewśkyj; W. Bączkowski: Kompleks niższości; J. Wołoszynowski: Problem spółdzielczy na Wołyniu; H. I. Łubieński: W odpowiedzi p. M. Andrusiakowi; L. Wasilewski: O p. Cacie — słów parę; Niedokończona praca; Varia—kronika.

REDAKCJA: Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Warszawa, Solec 87.